

Zbigniew Wawzczak

„GRUNWALDZKI CZYN”...

Piekielny upał zdaje się roztopiać wszystko dookoła: nie zważając nań, tu i ówdzie wśród dojrzewających łanów żyta, krzątają się żenicy. Żniwa w całej pełni, z dnia na dzień znika srebro dojrziałych już łanów żyta, złoto — dojrzewających smug pszenicy...

— Żniwa w tym roku trudne — powiada kolega — bo wszystko dojrzało niemal jednocześnie i wszystko trzeba zbierać za jednym zamachem.

Jedziemy przez żyzną krainę, stanowiącą spichlerz województwa, pszenno-buraczane ziemie pogranicza powiatu przemyskiego i jarosławskiego. Teren łagodnie połałdowany, głębokie — łagodne kotliny kryją tonące w zieleni sadów wsie, dookoła szachownicą starannie uprawionych pól, smugi lasów na horyzoncie. Mineliśmy ukryty w płaskim jarze Drohojów, stare gniazdo znanej w dawnej Polsce rodziny Drohojowskich. Zatrzymujemy się w Trójczycach, w miejscu gdzie od głównego traktu, wiodącego do pamiętnej z okupacyjnej tragedii wsi Kaszyce, odbija droga do Ciemiężowic. Należą do ludzi, mających wyczułone ucho na brzmienie nazw, toteż konstatuję, że jesteśmy w okolicy, gdzie wszystkie wsie noszą patronimiczne nazwy, zakończone na — ce (Trójczyce, Ciemiężowice, Dmytrowice, Hnatkowice, Kaszyce). Nazwy tego typu ciągną się dalej w kierunku zachodnim zajmując znaczną część powiatu jarosławskiego. Niewątpliwie językoznawca, historyk potrafiłby z faktu tego wyciągnąć jakieś wnioski. Jednakże uwagę naszą zajmuje inna sprawa, ruch na drodze, którą mieszkańcy Ciemiężowic przebudowują w czynie społecznym. Ciężki walec ubija rozrzucony na jezdni tłuczeń. Część ludzi zajęta jest dowożeniem i rozrzucaniem kamieni, inni pogłębiają przydrożne rowy.

Napotkany tutaj szczupły, ogorzwały od słońca mężczyzna — jest jak się okazuje sekretarzem Gromadzkiej Rady Narodowej w Trójczycach. Władysław Dubaniek, bo tak nazywa się nasz cicerone, prowadzi do niewielkiego, drewnianego domu, stanowiącego siedzibę GRN. Zastajemy tam agronoma, Józefa Piestraka i dwu referentów. Teraz rozmowa nie ma już charakteru dialogu, przyłączają się do niej wszyscy obecni. Zarzucamy ich pytaniami. Słyszeliśmy, że wsie tujejsze zrobiły ogromnie dużo, jeżeli chodzi o budowę dróg, sami oglądaliśmy prace w Ciemiężowicach, chcemy dowiedzieć się, jaki jest mechanizm tej działalności.

Mechanizm? Prosty! Ludzie nie chcą mieszkać we wsiach

odejętych od świata. Każda wieś w tujejszej gromadzie chciałaby mieć łatwy dostęp do miasta, każda chętnie widziałaby autobusy PKS. Czy młodzież, dojeżdżająca do szkół, czy ludzie udający się codziennie do fabryk i biur (a jest tu takich sporo), nie woleliby — miast brodzić po bloku — korzystać z asfaltowej drogi?

Niewątpliwie zasięga trójczyckiej GRN z jej przewodniczącym na czele Kazimierzem Wielgoszem (nie zastaliśmy go, korzystając z urlopu, zajęty był akurat sprzętem rzepak), jest wysunięciem zagadnienia budowy dróg na jedno z pierwszoplanowych zadań. Tej sprawy nie można było rozwiązać (choćby ze względu na ogrom zadań) jednorazowym zrywem, trzeba było przez całe lata mobilizować ludzi, przekonywać, zachęcać.

Ogromną rolę odegrał dobry przykład. Najpierw zbudowano drogę do Trójczyc i Kaszyc. Mieszkańcy innych wsi mogli zobaczyć, w jaki sposób wysiłkiem społecznym, popartym pomocą państwa, powstawała ta świetna droga. Z czasem inicjatorom przebudowy udało się doprowadzić do swego rodzaju rywalizacji pomiędzy poszczególnymi wsiami. Dlaczego Ciemiężowice mają być gorsze od Hnatkowic, które przebudowały drogę i w nagrodę otrzymały połączenie

(Ciąg dalszy na str. 2)

Od wielu lat przywykliśmy że każdy 22 lipca przynosi nam w darze nowy obiekt oddany na użytek społeczeństwa czy nowe osiągnięcie w dziedzinie gospodarki albo kultury. Każdy z naszych — już teraz dwudziestu pięciu lipców upamiętnił się czymś szczególnym w tym ówczesnym wiecu Polski Ludowej. Lipcowe Święta to nie tylko jeden dzień, ale miesiące całego roku.

POD ZNAKIEM WYZWOLENIA

22 lipca 1944 roku był lipcem Manifestu PKWN, zaczynającego się od słów: „Do Narodu Polskiego! Polacy w kraju i na emigracji, Polacy w niewoli niemieckiej!...” Manifest wytyczał program podstawowych reform ustrojowych, społecznych i kulturalnych, zapowiadał walkę o wcielenie ich w czyn. Manifest Lipcowy stał się natchnieniem dla wszystkich zamierzeń, poczynił i osiągnął jakich dokonaliśmy w ostatnim ówczesnym roku.

PIERWSZE DNI WOLNOŚCI

Już 1 września 1944 roku otwarto szkoły na wszystkich

wyzwolonych terenach kraju, a nauczycielstwo na Lubelszczyźnie, Rzeszowszczyźnie i Białostocczyźnie stanęło ofiarą do pracy. Nowo utworzony Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zainaugurował 15 września wykłady, a nieczynne przez pięć okupacyjnych lat teatry Białegostoku, Lublina i prawobrzeżnej Warszawy-Pragi — szeroko otworzyły swoje podwoje. W styczniu 1945 roku Krajowa Rada Narodowa uchwaliła, że stolicą Polski pozostanie nadal Warszawa, pomimo jej straszliwych zniszczeń. Młodzież Krakowa zapelniała nowo otwarte audytoria i pracownie uniwersyteckie; w Poznaniu wznowiła działalność opera, filharmonia w Katowicach; wznowiły działalność Instytut Fryderyka Chopina i Biblioteka Publiczna w Warszawie, Muzeum Narodowe otwarło wystawę „Warszawa oskarża”. Pierwsze Lipcowe Święta w oswobodzonej ojczyźnie witało życie kulturalne rozkwitające coraz pełniej.

POLSKA KRAJEM UCZĄCYCH SIĘ

W kwietniu 1949 roku Sejm uchwalił ustawę o likwidacji

analfabetyzmu. W ciągu trzech lat nauczono czytać i pisać 605 063 osoby w wieku od 14 do 50 lat życia.

W parze z tą akcją, stanowiącą pierwszy krok w przeobrażeniu kulturalnym ludności, postępował rozwój szkolnictwa. W drugim, po wyzwoleniu całego kraju, roku szkolnym 1946/47 w szkołach podstawowych uczyło się już 3,3 mln dzieci, a w ogólnokształcących 2,3 mln. W tych pierwszych latach powstały też nowe uniwersytety: w Lublinie, Łodzi, Toruniu, Wrocławiu, Gdańsku, Gliwicach.

POWRÓT SKARBÓW NARODOWYCH

Jednym z doniosłych kulturalnych osiągnięć była rewindykacja dzieł sztuki, wywiezionych przez okupanta. Począwszy od pierwszych dni po zakończeniu działań wojennych systematycznie rok po roku, każde Święto Lipcowe mogło chlubić się odzyskaniem któregoś ze skarbów narodowych. W lipcu 1945 roku, do Muzeum Narodowego w Warszawie, nadeszły z Jeleniej Góry 62 skrzynie z cennymi obrazami Matejki, ukrytymi tam przez hitlerowców, a z Nysy na Śląsku po-

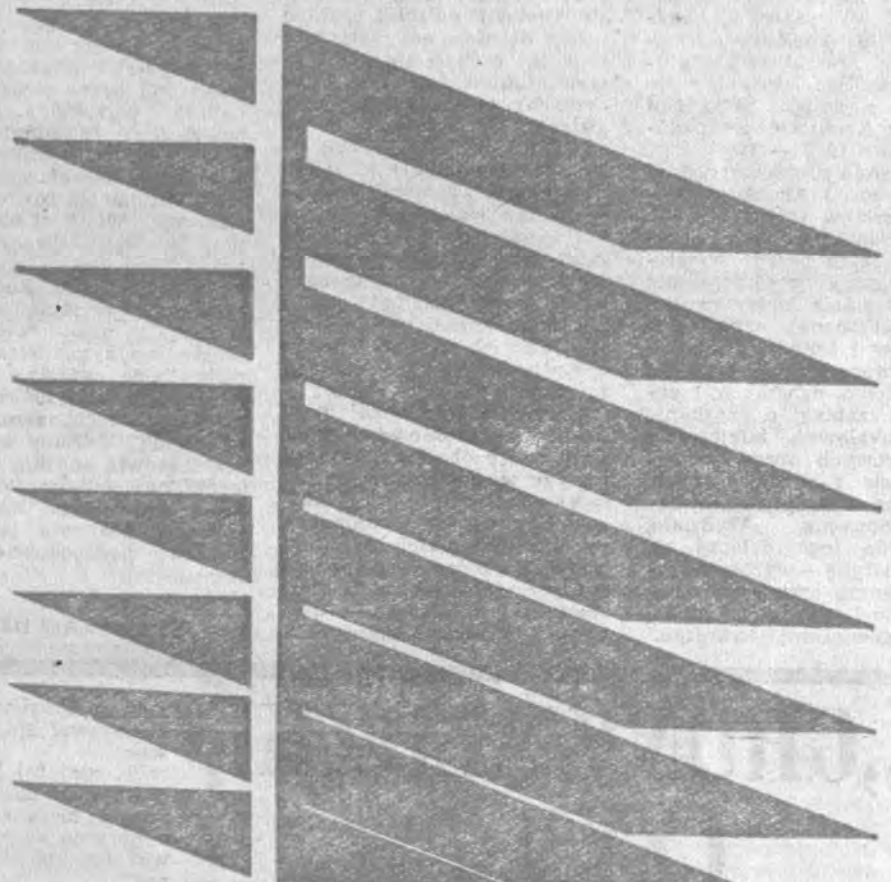
wrócił do Warszawy odnaleziony pomnik Kopernika. Rok później Polska Misja Rewindykacyjna odzyskała w Monachium 85 cennych obrazów wywiezionych przez Niemców, wśród nich „Dama z lasiczką” pędzla Leonarda da Vinci. Na wieży katedry wawelskiej zawisł z powrotem dzwonek „Zygmunt”, przeznaczony na złom przez okupanta, a stanowiąca część łazienkowskiego pomnika głowa Chopina, odnaleziona we Wrocławiu, w polnieckim magazynie metali przygotowanych do stopienia, wróciła do Warszawy.

Długa jest lista odnajdywanych i rewindykowanych dzieł sztuki i księgozbiorów, skarbów kultury narodowej z wawelskimi arrasami i „Szczerbce” na czele, lista, której ostatnim osiągnięciem jest odzyskanie „Kodeksu z Supraśla”.

LIPCOWE PODARKI

Niemal każde Święto Lipcowe przynosiło mieszkańcom stolicy i kraju podarki w postaci oddanych do użytku odbudowanych albo nowo wybudowanych obiektów. Pierwszym z nich był Most Ponia-

(Ciąg dalszy ze str. 3)



Nasze rozmowy

5-lecie rzeszowskiej WSP

W ciągu ubiegłych kilku lat Rzeszów stał się prężnym ośrodkiem akademickim. Nie ma w tych słowach przesady. Wystarczy wymienić, że na zasadzie punktów konsultacyjnych lub filii w Rzeszowie działają: UMCS w Lublinie, z krakowskich uczelni — WSE, Politechnika, WSR (w Łańcucie), a spośród rodzimych samodzielne uczelnie — WSI i WSP z szeroko rozbudowanym zapleczem studiów dziennych i zaocznych. Niektóre z nich doczekały się już pierwszych absolwentów, a w przypadku WSP skromnego jubileuszu — 5-lecia swego istnienia.

Wśród wydziałów WSP największym powodzeniem u młodzieży i studiujących zaocznie cieszy się Wydział Filologiczny. O bliższe dane dotyczące dorobku i zagadnień, którymi od momentu powstania zajmował się Wydział Filologiczny, zwrócił się do dziekana Wydziału, dr STEFANA RECZKA.

— Gwoli ścisłości muszę powiedzieć, że w bieżącym roku mija nie pięć, lecz trzy lata od chwili powstania Wydziału Filologicznego. Jego narodziny bowiem łączyć należy z usamodzielnieniem się Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie od 1 października 1965 r. Jest to rzeczwiście okazja do zamyslenia się nad tym, co było, gdyż w tym roku akademickim zamknęliśmy pierwszy cykl pięcioletnich studiów na Wydziale (pierwsze dwa lata uczelni jako filii WSP w Krakowie przypadają na lata 1963 — 1965).

Codzienna problematyka od chwili zorganizowania Wydziału szła w trzech nurtach naszych intensywnych poczynań. Były to przede wszystkim sprawy organizacyjne: kompletowanie kadry naukowo-dydaktycznej, organizacja zakładów i katedr, organizowanie procesu dydaktycznego na studiach dziennych i zaocznych, zabieg o uzyskanie bazy lokalowej, inicjowanie podstawowych form organizacyjnych i strukturalnych, potrzebnych do prawidłowego funkcjonowania Wydziału. Jeżeli do tego dołączy się problematykę wychowawczą i opiekuńczą oraz współpracę Wydziału i jego pracowników ze środowiskami twórczymi

i naukowymi miasta i województwa, można w ogromnym skrócie przy odrobinie wyobraźni wystawić sobie mnóstwo zadań i pracy wykonywanych wielkim wysiłkiem zespołu naukowo-dydaktycznego Wydziału.

— Jak mi wiadomo, obecnie w WSP trwają końcowe egzaminy związane z obroną prac magisterskich w zakresie filologii polskiej. Jakich zatem dziedzin one dotyczyły i ile już osób (z uwzględnieniem studiów dziennych i zaocznych) uzyskało tytuł magistra?

— Nasz codzienny trud o koło wychowania i kształcenia dobrze wykwalifikowanych nauczycieli w tym roku zostaje na filologii polskiej uwieczniony pozytywnym rezultatem: na kierunku filologii polskiej mamy pierwsze egzaminy magisterskie. Jest ich na studiach stacjonarnych 32, na studiach zaocznych 41.

Tematykę prac rozbić można na trzy problemowe warstwy, które obejmują problematykę językoznawczą, historyczno-literacką i metodyczną.

— Czy wśród obronionych prac magisterskich znajdują się takie, które bezpośrednio odnoszą się do spraw językoznawczych i historyczno-literackich Rzeszowszczyzny?

— Jak najbardziej. Odnosi się to przede wszystkim do prac z zakresu językoznawstwa, wykonanych pod moim kierunkiem. Ich różnorodna problematyka obejmuje onomastykę Rzeszowszczyzny (nazwy osobowe dawnego Rzeszowa, Hermanowej, Kańczugi, Jasła, Nienadowej, Dynowa i Frysztaka), zagadnienia stylu pisarzy rzeszowskich (Stanisław Piętak, Jan B. Ożóg), błędy językowe uczniów szkół rzeszowskich oraz zagadnienia języka prasy i badania gwarowe.

Prace z zakresu historii literatury dotyczą zarówno literatury staropolskiej, jak i współczesnej, z dziedziny metodyki zaś obejmują problematykę recepcji lektury, czytelnictwa, poprawności itd.

— Jakie istnieją perspektywy w wykorzystaniu tego skądinąd już ciekawego dorobku naukowego uczelni?

— Tematyka prac magisterskich wiąże się ściśle z problematyką naukową proponowaną przez poszczególne katedry i zakłady. Trzeba powiedzieć, że zdaniem recenzentów naszych prac magisterskich, poważny ich procent jest na bardzo wysokim poziomie. Wiele z nich stanowi niewątpliwie krok naprzód w zakresie naszej wiedzy o języku, kulturze i literaturze regionu, a także poszerzają naszą wiedzę w sensie ogólnym. Niektóre z nich będą mogły znaleźć miejsce w którymś z organów naukowych naszej uczelni lub RTPN. Nade wszystko zaś stanowią one dla ich autorów najcenniejszy dorobek, który pozwoli im na odpowiednim poziomie pracować na niwie pedagogicznej.

Rozmawiał:

STANISŁAW DZIEDZIC

Polonica kulturalne

I MIEJSCE LUBUSKIEGO ZESPOŁU NA FESTIWALU W HOLLANDII

Wielki sukces artystyczny odniósł na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Warffum w Holandii Lubuski Zespół Pieśni i Tańca.

Pośród dziewięciu zespołów, reprezentujących Włochy, Danię, Szwajcarię, Stany Zjednoczone, Anglię i Holandię, zespół zielonogórski pod kierownictwem mgr Krystyny Idczak zdobył I miejsce.

Na festiwalowej estradzie artyści w ludowych strojach lubuskich dali 8 koncertów, które obejrzało ponad 20 tys. osób.

Prasa holenderska poświęciła naszym artystom liczne i pełne gorącego uznania recenzje. Ze-

spół lubuski zaproszony został również na przyszłoroczny festiwal w Warffum; otrzymał również szereg propozycji na tournée po krajach Europy zachodniej i Stanach Zjednoczonych.

POLSKI KOMPOZYTOR LAUREATEM KONKURSU W USA

Na międzynarodowym konkursie na kwartet perkusyjny, ogłoszonym przez „The Center of the Creative and Performing Arts” oraz The State University w Nowym Jorku jedyną nagrodę wraz z zapewnieniem wydania utworu otrzymał polski kompozytor — Ryszard Kwiatkowski ze Szczecina. Nagrodzony utwór nosi nazwę „Kwartet na perkusję”.



Fot. J. LIGEZA

„GRUNWALDZKI CZYN...”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

autobusowe? Na zebraniu wiejskim mieszkańcy Ciemiężowic podejmują zobowiązania. Przeprowadzają po kilka dniówek, będą wychodzić na drogę tak długo, jak długo będzie to potrzebne!

Opowiada agronom, Józef Piestrak: Ludność Ciemiężowic z ogromnym zapalem przystąpiła do pracy. Z każdego domu pracowano po 10—15 dniówek. Ci, którzy pracują w mieście, po nocach odrabiali swoje dniówki. Ogromne zasługi położył tamtejszy sołtys Bronisław Doliński, który sprawę drogi uczynił sprawą honoru wszystkich jej mieszkańców. Pośpieszyło mu z pomocą koło ZMW, którego przewodniczącą Teresa Hołyszko, zasługuje na szczególną pochwałę. Czy jednak obszło się bez kłopotów? Czy nie było opornych? Oczywiście, byli jedni i drudzy. Nie zniechęcano się jednak, nie rezygnowano z żadnej formy perswazji, odwołania się do ambicji.

Niekiedy z pomocą przychodził przypadek. Jeden z gospodarzy uparł się: Czy ja muszę się do tego przykładzać? A drogę to wy i tak abudujecie! Wydawało się, że

już nie ma rady na niego. Aż tu na zebraniu wiejskim nasz uparciuch usiadł akurat naprzeciw przybyłego z powiatu inżyniera. Inżynier reprezentował powiatowy zarząd dróg lokalnych, który dostarcza fachowej pomocy, maszyn i materiałów do budowy drogi. Gromił więc opieszałych, którzy opóźniają zakończenie pracy przy drodze, często spoglądając w kierunku naszego gospodarza. Pod naciskiem tych spoj-



... przez pół roku malował Dubaniek „Bitwę pod Grunwaldem”...

rzeń, delikwent wstał i zadeklarował sporą ilość dniówek.

W całej tej historii najzabawniejsze było to, że inżynier o niczym nie wiedział, a karzące spojrzenia adresowało najzupełniej przypadkowo!

Rozmach podjętych prac w rozmaitych stronach gromady Trójczyce jest imponujący. Oprócz drogi do Ciemiężowic, aktualnie bardzo awansowane są roboty w trzech innych miejscach: na odcinku Waclawice — Zabłocze, Waclawice — Kosiebnice i Dmytrowice — garaże. Wszystkie te szlaki przebudowują mieszkańcy (przy pomocy fachowej zarządu dróg z Przemysła) metodą stabilizacji wapiennej. Już niedługo wszystkie wsie w gromadzie połączone będą dobrymi drogami.

Nie umiem ukryć podziwu dla oporu i konsekwencji aktywności gromadzkiego z Trójczyce. A przecież nie tylko o drogach można tu mówić. Przejżdżając przez wieś oglądaliśmy nowy, oddany w tym roku budynek spółdzielni zdrowia (pracuje w niej lekarz i dentysta). Wzniesiono go w czynie społecznym podobnie jak i piętrowy, murowany dom ludowy. Poza tym zbudowała ta gospodarna załoga szkołę w Trójczycach, dom ludowy w Waclawicach, wreszcie obiekt, mieszczący szkołę i dom ludowy w Dmytrowicach... W tym roku rozpoczęto budowę wielkiego ośrodka kulturalnego w Kaszycach, do budowy domu kultury przygoto-

wują się znane nam już Ciemiężowice. Wszystkie te obiekty zrealizowano lub też wznosi się własnym sumpsem, korzystając z ustalonej ustawowo pomocy państwa.

Rozmachowi we wznoszeniu obiektów społecznych dostrzymuje kroku budownictwo indywidualne. Referent meldunkowy GRN, którego zastałem przy lekturze Konstytucji PRL (przygotowywał się na kolokwium w powiecie) oświadczył mi, że w roku bieżącym buduje się we wsiach należących do gromady 60 obiektów. Wznoszono by jeszcze więcej, gdyby nie trudności z nabyciem materiałów budowlanych. Złożył więc ludzi gospodarka nadleśnictwa Hołubla, która tak długo trzymała ścięte drewno aż zbutwiało i trzeba je było przeznaczyć na opał...

Moje rozmówcy zadali sobie trud, aby policzyć nowe domy i zabudowania gospodarcze, zbudowane po wojnie we wsi Trójczyce. Sumował agronom: Galar — dziewięćnaście, Fic — dwadzieścia, u Kotów — dwadzieścia dwa, Pacanowski — dwadzieścia trzy... Doliczono się 50 obiektów. Nie jest to mało, skoro zważymy, że wieś Trójczyce liczy sobie ok. 80 numerów...

— A jak w domach? Jak wyposażone?

— Mamy już takie, które pod względem umeblowania i wyposażenia w niczym nie ustępują miejskim. Tak jest u Sobka, Pączka, Adamiaka — wylczył agronom — mają lodówki, pralki, odkurzacze. Do tego jednak, by u



... Józef Mendzela, kierownik szkoły w Kaszycach, sekretarz KG PZPR, należy do grona inicjatorów czynów społecznych...

Fot. ZB. WAWSZCZAK

wszystkich tak było — jeszcze daleko.

Wszystkie chętnie na ogół przyjmują nowe metody agrotechniczne, kupują nawozy sztuczne, wysokość osiągniętych planów stawia je w powiatowej czołówce. Kółka rolnicze dysponują wcale poważnym parkiem maszynowym. Nadal przecież jest bardzo dużo do zrobienia. Te lessowe, urodzajne ziemie powinny rodzić znacznie więcej...

Gawędząc o wszystkim po trochu, zatrzymaliśmy się na sprawach kultury. W tej materii gospodarze nie mają się czym pochwalić. Klub „Ruch” splajtował, w świetlicy mieszczącej się w wybudowanym w ostatnich latach domu kultury nie dzieje się nic szczególnego.

Julian Woźniak

NAŚLADOWNICTWO WSKAZANE

„Turkus”, pod takim hasłem Wojewódzki Dom Kultury z Rzeszowa zorganizował ostatnio w Lesku ogólnopolskie seminarium, poświęcone problemowi wypoczynku po pracy. Przybyli na nie przedstawiciele placówek kulturalno - oświatowych i komitetów kultury fizycznej z całego kraju, jako że płaszczyzną dyskusji miało stać się znane powszechnie porozumienie zawarte między Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz Głównym Komitetem Kultury Fizycznej i Turystyki w sprawie wspólnego działania w zakresie organizacji imprez, wypoczynku po pracy, dobrze pomyślanej rekreacji... I właśnie tajemniczy „Turkus”, to nie innego, jak pierwsze litery zaprzyjaźnionych dziedzin: TUR-ystyki, KU-ltury i S-portu

Już na wstępie należy stwierdzić, że organizatorom imprezy nie zbywało na pomysłowości. Całą imprezę cechowała też sprawna organizacja w najdrobniejszych szczegółach. A pomyślano o wszystkim, by przybyłym na Rzeszowszczyznę gościom zaprezentować, oczywiście poza umożliwieniem szerokiej dyskusji i wymiany doświadczeń, ciekawy i niezwykle oryginalny wzorzec imprezy łączącej szereg elementów. Rzeszowski „Wudek” zmobilizował więc siły, by wszystko wypadło na przysłówkowy medal. Zamierzony cel osiągnięto!

A pracy było co niemiara! Przede wszystkim należało wymyślić coś nowego, oryginalnego, a następnie wszystkie pomysły w pełni zrealizować. I wymyślono! Począwszy od chwytania na łące, przez bieszczadzkie kowbojów, autobusów wiozących do Leska uczestników seminarium, a skończywszy na niezwykle oryginalnej imprezie nazwanej umownie „światłodźwięk”. Była to szokująca impreza. W nocy, na tle murów starego zamczyska, mackami silnych reflektorów „odsłaniano” rodzajowe scenki. Wszystko oczywiście, cała akcja, rozgrywała

się na podkładzie dźwiękowym. Mocne wrażenie! Ciekawy pomysły! Pierwszy tego rodzaju wzorzec, jako oryginalnej imprezy, która może się stać turystyczną atrakcją, w tym przypadku Leska (impreza zostanie powtórzona w sobotę, 20 bm, o godz. 22). Tylko czy WDK będzie wciąż do Leska ściągając swą zastępy, by tego rodzaju imprezę organizować? Nie sądzę, i nie taka przecież jest jego rola. Dlatego należy oczekiwać na podjęcie inicjatywy przez gospodarzy bieszczadzkiego miasteczka, które przecież z każdym rokiem ściągają liczniejsze rzesze turystów. Trzeba więc zadbać o atrakcje dla nich, jak to już z powodzeniem, prześcigając się w pomysłowości, robią np. jugosłowiańskie kurorty i

impreza „światło-dźwięk”, to jeszcze nie wszystko. To tylko jakiś jeden element lokalnego programu działania. Ale Wojewódzki Dom Kultury podpowiedział gospodarzom Leska (i nie tylko, bo przecież na seminarium przybyło wielu organizatorów tego rodzaju imprez z całego kraju) — jeszcze inne ciekawe i niezwykle atrakcyjne widowiska. Przede wszystkim „Sobótki”. W przepięknej scenerii nad Sanem Bożena Niżańska ze swym zespołem pieśni i tańca WDK, zaprezentowała, licznie obsiadłej wysokie zbocza publiczności, oryginalne starosłowiańskie ludowe widowisko, które przy odpowiednim rozreklamowaniu może przecież każdego roku ściągnąć w te strony niejednego turystę, poszukującego czystych, pięknych krajobrazów i uroków przyrody, ale także jakichś — powiedzmy sobie szczerze — mocniejszych wrażeń, atrakcyjnych imprez, które by się stały odpowiednim uzupełnieniem całodziennego wypoczynku.

Przed rokiem na łamach „Widnokregu” pisałem o „Tygodniu Kultury Bieszczadzkiej” — imprezie organizowanej każdego roku w Wiśle, o jej walorach

i wynikających z niej korzyściach dla miasta, dla regionu. Dziś tylko przypominę, że „Tydzień Kultury Bieszczadzkiej”, to po prostu tygodniowy program imprez, na które składają się występy znanych zespołów ludowych i gawędziarzy. I, co tu dużo mówić, imprezy te przyno-



szą miastu wiele korzyści. Przede wszystkim ściągają do Wisły liczne rzesze turystów, przebywającym tutaj wczasowiczom dają miłą rozrywkę i okazję poznania ciekawej bieszczadzkiej kultury, wreszcie — są okazją, by prasa, radio i telewizja o imprezach tych pisała, mówiła, pokazywała na małym ekranie, a tym samym popularyzowała, reklamowała miasto! A dobra re-

klama ma podobno niebagatelne znaczenie.

Toteż uważam, że każde miasto, które chce pretendować do... prawa pobierania dodatku turystycznego — powinno być oryginalne i umieć to „sprzedać”. Ustrzyki np. mają piękne kąpielisko, gustownie urządzone i otwartą (podobno!) do drugiej w nocy kawiarnię.

Lesko zbudowało piękny amfiteatr... Ale co więcej? Czym się pochwalić?

Sopot stał się znanym na całym świecie nadbałtyckim kurortem dzięki (chyba nie przesadzę — j. w.) międzynarodowym festiwalom piosenki. Swi-

WDK i zespołu mocnego uderzenia „Galicjanie”, a także na występie zespołu pieśni i tańca, w przepięknym amfiteatrze, chyba po raz pierwszy od jego oddania do użytku zebrał się komplet publiczności.

A trzeba było widzieć co działo się nazajutrz na stadionie w pobliskich Uhercach, kiedy rozgrywany był turniej wsi Uherce — Olszanica (impreza zorganizowana również w ramach akcji „Turkus” przez WDK)?! Pobite tu zostały wszelkie rekordy liczby widzów. Do Uherzec przybyły liczne wycieczki z kolonii i obozów, pobliskich miejscowości. Zatrzy-

— A przecież przed wojną — wspomina sekretarz Dubaniek — graliśmy sztuki u Rajzera w stodole. Wystawialiśmy sztuki Anczyca „Łobzówianie”, „Chłopi artystokraci”. Dzisiaj inne czasy, młodzież nie ma tyle czasu a poza tym telewizja. Tak jak fotografia wypiera malarstwo, tak telewizja — ruch amatorski, to już nie jest taka atrakcja.

— To prawda — oponuje kłóś z obecnych — ale chyba nie można wszystkiego zwać na telewizję. Przecież nie tak dawno przyjechali do nas ze sztuką z Maćkowiec. Pamiętacie, ile ludzi przyszło, jakie było zainteresowanie? Po prostu u nas nie ma się kto tym zająć.

— Na pewno — zgadza się sekretarz — przecież i po wojnie różne sztuki wystawialiśmy.

— A sekretarz to nawet wymalował kurtynę — dorzucił agronom.

— Jak też wygląda ta kurtyna? Proszę aby mi pokazali dzieło malarza — amatora. Spotykam po wsiach malarzy niedzielnych, niekiedy bardzo oryginalnych ale do rzadkości należy fakt, aby któryś z nich porwał się na płótno większych rozmiarów...

Głębokim wąwozem, mijając ośrodek zdrowia podchodzimy pod salę widowiskową, przerobioną z niewielkiego, popołowarcznego budynku. Sekretarz otwiera zawieszoną na drzwiach kłódkę, wchodzimy do środka.

Sklębione postacie, zwarte w zażartym, śmiertelnym boju, na pierwszym planie dumna, czarna postać księcia Witolda... Kopia „Grunwaldu” Matejki. Jak na dzieło malarza niedzielnego, kurtyna (2 m x 4 m) przedstawia się imponująco. Prawie bezbledny rysunek, nieco gorzej z kolorem... ale posłuchajmy, w jakich warunkach powstało to dzieło, nie wahajmy się użyć tego słowa, dzieło wielkiej fascynacji przeszłością naszego kraju. Zwycięska bitwa pod Grunwaldem budziła na wsi małopolskiej spore zainteresowanie. Dość przypomnieć, że w roku 1910, jeszcze przed uzyskaniem niepodległości, w dziesiątkach małopolskich wsi wzniesiono pomniki grunwaldzkie. Czyż trzeba się dziwić, że po wielkim zwycięstwie w 1945 roku wiktoria grunwaldzka inspirowała mieszkańca podprzemyskich Trójczyc?

Nie wiem, nie udało mi się tego ustalić, w jakich okolicznościach narodził się pomysł, aby wiejski malarz, Władysław Dubaniek ozdobił kurtynę domu ludowego w Trójczycach obrazem bitwy przypominającej wielki triumf polskiego oręża nad krzyżackim „Drang nach Osten”. Dość, że projekt taki powstał. Prawie przez pół roku pracował Dubaniek, oczywiście tylko w wolnym od gospodarskich zajęć chwilach, nad odtworzeniem bitwy Kopiewał z niewielkiej, jednobarwnej reprodukcji. Farby zвычайne, tak do malowania chałupy, kupił w sklepie w

Przemysłu, olej sporządził z siemienia zasianego przez siebie lnu, pędzle z włosia końskiego ogona.

W taki oto gospodarski niejako sposób powstała kurtyna, w taki sposób wielkie dzieło mistrza Matejki stało się własnością mieszkańców Trójczyc. Dwadzieścia lat pełni swą służbę grunwaldzka kurtyna. Czas nadwyrężył ją, wystrzępił, tu i ówdzie wyruszył nietrawale farby.

Gdy oglądałem tę niecodzienną kurtynę w Trójczycach, nie mogłem się oprzeć wzruszeniu. Pradkowie tułających chłopów byli przecież współautorami tamtego zwycięstwa: w szeregach chorągwi przemyskiej dzielnie bił się pod Grunwaldem. Po wiekach, ich potomkowie również dołożyli cegiełkę do rozbicia hitleryzmu. I chyba zupełnie nieświadomie zapragnęli mieć w swej niewielkiej, skromnej salce kopie słynnego obrazu.

Czyż nie są godnymi potomkami swych przodków? Czyż w wolnej, socjalistycznej Polsce nie czynią wiele, aby swoje życie, życie własnych dzieci uczynić piękniejszym lepszym? I dlatego i niezwykła kurtyna w Trójczycach, i rozmach społecznej pracy przy budowie dróg, domów kultury, szkół — zasługuje na miano hołdu — złożonego przez późne wnuki swym przodkom, autorem jednego z największych dokonań w naszej historii, wielkiego zwycięstwa nad krzyżackim zakonem.

noujście ma już swój festiwal piosenkarzy studenckich. Wisła ma wspomniany już „Tydzień Kultury Bieszczadzkiej”. Swoje festiwale i tatrzańskie jesienie mają inne uzdrowiska. A my?

Mamy ambitne, ale jakże przecież skromniutkie, Dni Pogorza Dynowskiego, Dni Biecza, festiwal piosenki w Łużnej i przegląd zespołów artystycznych w Załużu koło Sanoka, nie mówiąc oczywiście o łańcuckich Dniach Muzyki Kameralnej. W Bieszczadach, które przecież na ziemi rzeszowskiej mają najlepsze walory turystyczne i ściągają najliczniejsze rzesze turystów — nie! Z inicjatywą organizowania dużej masowej i niewątpliwie potrzebnej i pożytecznej imprezy; Dni Folkloru Rzeszowskiego — wystąpił Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec, Lesko, Ustrzyki Dolne i Sanok w dalszym ciągu nie dostrzegają korzyści, jakie mogłaby im przynieść atrakcyjna i oryginalna impreza.

Dlatego dobrze się stało, że Wojewódzki Dom Kultury ogólnopolskie seminarium „Turkus” zorganizował właśnie w Lesku, że wykazał, iż miasto to ma bardzo dobre warunki do zorganizowania u siebie imprezy, która może zainteresować szeroki ogół widzów. Przecież oprócz wspomnianej — „światłodźwięk” oraz tradycyjnego puszczenia wianków nad Sanem — na koncercie kapeli ludowej

mało się tutaj wiele przejeżdżających wycieczek autokarowych z całego kraju.

A przecież w Uhercach nie występował ani zespół „No to co?”, ani Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Nie grał „Górnik” Zabrze ani nie śpiewała Halina Kunicka! A jednak?

Właśnie poprzez „Turkus” Wojewódzki Dom Kultury wykazał, że można zorganizować imprezy, które wzbudzą zainteresowanie. Nie wszyscy przecież muszą od razu organizować międzynarodowe festiwale piosenkarzkie. Powinni jednak zdobyć się na pomysłowość i oryginalność. Marazm w zakresie organizowania właściwego — nazwijmy to — wypoczynku po pracy nie jest bynajmniej wskazany. Nowe i ciekawe pomysły — pilnie poszukiwane. Naśladownictwo wskazane!

Oczywiście, poza powyższym praktycznym wzorcem, uczestnicy seminarium w szerokiej i ożywionej dyskusji poruszyli szeroki wachlarz problemów, wynikających z porozumienia resortu kultury i kultury fizycznej. Wskazywano na blaski i cienie tego porozumienia w praktyce. Wyciągano wnioski i wysuwano postulaty. Do problemów tych będzie więc jeszcze okazja powrócić.

Na zdjęciu: Zespół Pieśni i Tańca WDK.

(Dokończenie ze str. 1)

towski — w 1946 roku. Następnie ruszyła budowa trasy W—Z oraz Rynku i osiedla na Mariensztacie oddanego w 1949 roku. Lipiec 1953 r. dał Warszawie Stare Miasto i Trakt Starej Warszawy. W 1946 roku na Żoliborzu, w kolonii WSM, położono kamień węgielny pod pierwszy dom mieszkalny dla powojennej Warszawy, a w pięć lat później, 22 lipca 1951 r., oddano do użytku MDM — Marszałkowska Dzielnica Mieszkanio-wa. W lipcu 1955 — Pałac Kultury i Nauki oraz Stadion X-lecia. Odbudowano z gruzów Gdańsk i Wrocław. Na

lipcowe 10-lecie odnowiono lubelską „Starówkę”. Zbudowano ze składek społecznych tysiąc „Szkół — pomników Tysiąclecia”.

Powoli święto 22 Lipca obrosło dostojnością, przybierając charakter uroczystości państwowej. Pierwotny impuls pierwszych dni lipcowych, przynoszących społeczeństwu coraz to nowe obojętki i osiągnięcia kulturalne, przeistoczył się w długi szereg różnego rodzaju czynów, świadczących o sile i mocy idei wyrażonych w Manifestie Lipcowym.

A. Cz.

Ryszard Dzieszyński

Z Brazylii w widły Wisły i Sanu

Z początkiem września 1934 roku przybył z Wilna do Rzeszowa nauczyciel i pisarz Jerzy Ostrowski, który objął stanowisko dyrektora gimnazjum. W Wilnie Ostrowski redagował „Ster” — pismo młodzieżowe, które nie miało nic wspólnego z redagowanym w czasie okupacji szmatławym piśmkiem dla młodzieży o tej samej nazwie. Poprzednio Ostrowski pracował jako inspektor szkolny w Kuratorium Wileńskim, a jednocześnie zajmował się twórczością literacką.

Ostrowski debiutował w 1920 roku opowiadaniem w piśmie „Sprawa Polska”. W dwa lata później wydał swoją pierwszą powieść „Sobieradek”, której fabuła toczyła się w środowisku młodzieży szkolnej. Książka zyskała szereg życzliwych recenzji i postawiła autora w rzędzie uznanych pisarzy. W 1927 roku Ostrowski otrzymał propozycję wyjazdu do Brazylii, w charakterze instruktora oświatowego w polskich koloniach w Paranie. Młody, żądny przygód i poznania świata nauczyciel z radością przyjął ofertę. Pociągała go tajemnicza i gorąca „Ziemia Świętego Krzyża”, jak nazwali ją oni żeglarze portugalscy. W Brazylii przebywał przez 5 lat. Dzielał czas między nauczanie w polskich szkołach, pracę kulturalno-oświatową oraz wizyty w poszczególnych ośrodkach polonijnych — zdążył dość dobrze poznać ten największy kraj Ameryki Południowej. Wędrowki po parańskiej puszczy dostarczyły mu wielu wrażeń i materiału literackiego. Po powrocie do Polski w ciągu sześciu lat wydał kolejno 5 książek, nie licząc felietonów i reportaży, które drukował w prasie codziennej i literackiej: „Ziemia Świętego Krzyża” — 1929 r., „Kobuz” — 1931, „Canthagara król Botokudów” — 1931 r., „Brazylia” 1933 r. oraz „Polscy konkwistadorzy” — 1934 r. Doprawdy głęboko zapadła Brazylia w pamięć młodemu nauczycielowi z Wileńszczyzny!

Ale przyjeżdżając do Ameryki Południowej, Ostrowski miał o niej zgoła odmienne wyobrażenie. Pociągała go romantyczna egzotyka, przygoda konkwistadorów i nieogarnione bogactwa tej ziemi. Tymczasem rzeczywistość była zupełnie inna. Ze wspaniałą przyrodą człowiek borykał się bezustannie, tocząc codzienną walkę o własną egzystencję. Zdradliwa dżungla, pełna jadowitych węży i niebezpiecznych zwierząt czyhała na człowieka, aby go zniszczyć.

Ostrowski zaprzagnął odmienić tradycyjne pojęcia i wbrew tradycji całego pokolenia pisarzy podróżniczych — nie wpajał czytelnikom zachwyty nad fałszywą w gruncie rzeczy egzotyką. Postawa ta zyskała dezaprobatę kpt. Mieczysława Bohdana Lepeckiego, który przez 13 lat (1921—1934) — niejednokrotnie przyjeżdżał do Brazylii, mieszkając w niej całe lata i prowadząc w Kurytybie redakcję polonijnego pisma „Świt”. Związek Sportowy „Junak” (którego był założycielem i komendantem), wreszcie redakcję „Sportowca Polskiego”. Wyrazem tej dezaprobaty była druzgocąca recenzja Lepeckiego o „Ziemi Świętego Krzyża” wydrukowana w „Wiadomościach Literackich” pod znamennym tytułem „Niedobra książka o Brazylii”.

Niewątpliwie Lepecki lepiej znał Brazylię niż Ostrowski, ale doświadczenia instruktora oświatowego były cokolwiek innej natury niż doświadczenia zapalonego myśliwca i sportowca. Lepecki szukał egzotyki ze strzelbą w ręku i znalazł ją. Ostrowski natomiast jeździł po Paranie z dziennikiem zajęć

lekcyjnych, nie też dziwnego, że znalazł tylko głuchą, „zabitą deskami” prowincję — zmorę każdego inteligenta z wielkiego miasta, któremu brakowało komfortu i wrażeń intelektualnych.

Najciekawszymi książkami (brazylijskimi) były: „Kobuz”, opisujący trudy i zmagania dnia codziennego kolonistów polskich w Paranie oraz „Canthagara Botokudów”. Dla dzisiejszego czytelnika najbardziej interesująca jest szczególnie ta ostatnia ze względu na ciekawe tło historyczne oraz związki z kolonistami polskimi. Były to zresztą związki dość krwawe, jeśli się weźmie pod uwagę, że Botokudzi, jako jedyne plemię indiańskie — walczyło z nimi i wyrządziło osadnictwu polskiemu dość duże straty zarówno w ludziach, jak w zasobach materialnych. „Dzicy”, o których wspomina Maria Konopnicka w „Panu Balcerze w Brazylii” — to właśnie Botokudzi. Indianie, którzy wyróżniali się dużą odwagą i poczuciem niezależności, zostali wreszcie pokromieni, ale nie drogą walki, lecz wskutek wejścia w ich szeregi białego człowieka Eduarda Lima e Silva Hoerhamn, syna Niemca i Botokudki, wybranego później przez nich wodzem. Eduardo zwany „Canthagara” czyli „Czarna Puma” ucywilizował jako swoich poddanych i zamieszkał wraz z nimi w przydzielonym mu przez rząd rezerwacie. Najbardziej charakterystyczną cechą „króla” była nienawiść do Niemców, mimo iż sam pochodził z rodziny niemieckiej. On jednak czuł się rodowitym Brazylijczykiem i na każdym kroku zwalczał niemiecki szowinizm i panoszenie się kolonistów spod znaku czarnego orła.

Przyjeżdżając do Rzeszowa, Ostrowski ani nie przypuszczał, że zetknie się z rodzimą egzotyką. Po wędrowkach po brazylijskiej prowincji, sądził, że dokona żywota na polskiej prowincji, dokąd ściągają, skuszony wysoką pensją dyrektora gimnazjum. Przez pierwszy okres trochę nudziło mu się w Rzeszowie. Dla na brania nowych wrażeń wybrał się znowu za ocean, tym razem do Kanady. Wycieczka ta miała charakter wybitnie krajoznawczy. Po kilku miesiącach wrócił jednak do Rzeszowa i rozpoczął podróże po zachodnich połaciach województwa lwowskiego. Kupił sobie świetny motocykl miki „Harley” z przyczepą, na którym docierał do najbardziej niedostępnych zakątków. Jeździł nie jako turysta, lecz jako działacz społeczny. Na zapadłych wsiach miewał odczyty, uczestniczył w wieczornicach i wiecach. Przyglądał się pracy instruktorów rolnych i wiejskich instytucji społecznych, kontrolował regionalne badania naukowe. W tych podrózkach i rozmowach z ludźmi, zebrał sporo interesującego materiału. Starsi działacze społeczni z terenu Rzeszowszczyzny pamiętają go dobrze. W świetle ich wspomnień rysuje się wyraziście sylwetka tego mądrego, sympatycznego i życzliwego człowieka „pana dyrektora”.

Z tych wędrowek powstał tom reportaży krajoznawczych pt. „Widły Wisły i Sanu” wydany w 1938 roku. Autor — bystry obserwator — trafnie dostrzegł nędzę podzeczowskiej wsi oraz zastój gospodarczy i kulturalny. Pewne ożywienie wniosły próby powołania do życia Centralnego Ośrodka Przemysłowego, ale ogromne poacie Rzeszowszczyzny nie zostały dotknięte jego dobrodziejstwami. W samym powiecie rzeszowskim było wówczas około 50 tysięcy ludzi, którzy nie mogli

znaleźć zatrudnienia. Ostrowski doskonale zdawał sobie z tego sprawę i nawoływał chłopów do organizowania się i ożywiania działalności gospodarczej we własnym zakresie. Pokazał jako przykład małego rolnego gospodarza w jednej z odwiedzanych przez siebie wsi, który zmeliorował przy pomocy miejscowych chłopów okoliczne bagna, przetworzył nieużytki na kwitnące łąki. Oprócz tego zorganizował we wsi kursy tkackie oraz kółko rolnicze. Nie trafiało Ostrowskiemu do przekonania praca inż. Solarza w Uniwersytecie Ludowym im. Oskara w Gaci. Dziś z perspektywy 30 lat możemy obiektywnie ocenić znaczenie tego eksperymentu, ale darujmy Ostrowskiemu: był tylko człowiekiem i mógł się mylić.

Zresztą mylił się w wielu innych sprawach. Nie wysnuł w swej książce prostego wniosku: aby zlikwidować zacofanie na wsi, nie wystarczy działalność organizacji wiejskich i co bardziej światłych chłopów. Przedwojennej wsi potrzebne były zasadnicze i strukturalne reformy gospodarcze i społeczne. Tego jednak nie mógł w ówczesnych warunkach powiedzieć dyrektor rzeszowskiego gimnazjum.

Z chwilą wkroczenia Niemców do Rzeszowa we wrześniu 1939 roku, Jerzy Ostrowski został aresztowany, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Hitlerowcy widocznie uważali go za potencjalnego przeciwnika. Niedarmo przecież czytali w „Canthagarze królu Botokudów” słowa potępiające kolonistów niemieckich za rozpanoszenie się w Brazylii i nieposzanowanie miejscowych praw. Ostrowski nie przeżył obozu. Zmarł w 1941 roku, w pełni sił, licząc zaledwie 44 lata.

Rok temu minęła 70 rocznica Jego urodzin, dwa lata temu 25 rocznica Jego śmierci. Obie te rocznice jakoś przeszły bez echa. A szkoda. Przecież Jerzy Ostrowski, mimo iż nie pochodził z Rzeszowszczyzny (urodził się w Chodlu na Lubelszczyźnie) waleń zasłużył się swą działalnością zawodową i społeczną ziemi rzeszowskiej

Andrzej Tokarczyk

MIĄŁA BYĆ

„Wstępujemy w ślady przodków, pomni na naszą wierność Kościołowi katolickiemu, pomni też na tolerancję, która była zawsze właściwa duchowi polskiemu” — głosiło orędzie Rady Regencyjnej z 27 X 1917 roku. Radę tę powołali we wrześniu okupacyjni generał-gubernatorowie. Na jej czele stanął późniejszy kardynał a ówczesny arcybiskup warszawski — Aleksander Kakowski. Funkcję sekretarza powierzono ks. prałatowi Chełmińskiemu. Ponadto w skład Rady weszło 6 biskupów diecezjalnych obrządku rzymskokatolickiego, superintendent generalny wyznania ewangelicko-augsburskiego i najstarszy wiekiem rabin żydowski stołecznego miasta Warszawy.

Odradzająca się przed 50 laty Polska miała być — wedle wyobrażeń Rady Regencyjnej — monarchią. Dekret Rady z dn. 20 lutego 1918 roku ustanawiał sakralną formułę przysięgi dla ministrów, urzędników, sędziów i adwokatów. Miała to być monarchia katolicka. Artykuł 129 Projektu Konstytucji Państwa Polskiego, opracowany przez Komisję Sejmowo-Konstytucyjną Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego, przewidywał uznanie wyznania rzymskokatolickiego za „religię stanu”. Królowie polscy i ich żony — stanowiło to warunek sine qua non — mieli być katolikami. Artykuł 4 tegoż projektu nakładał na nich ponadto obowiązek wychowania potomstwa w wierze rzymskokatolickiej. Inne artykuły projektu zawierały formuły przysięgi królewskiej, przysięgi małoletniego króla, następcy tronu oraz regenta.

W skład senatu wchodzić mieli z urzędu: arcybiskup warszawski, biskupi diecezjalni katolicy obrządku łacińskiego, greckiego i ormiańskiego (dożywotnio mianowani przez króla w liczbie nie mniejszej niż ta, która odpowiadała dwóm trzecim istniejących diecezji) i po jednym przedstawicielu duchowieństwa ewangelickiego i ormiańskiego (dożywotnio mianowani przez króla w liczbie nie mniejszej niż ta, która odpowiadała dwóm trzecim istniejących diecezji) i po jednym przedstawicielu duchownego również przez króla.

Powstanie Drugiej Rzeczypospolitej jako republiki a nie monarchii — i to formalnie rzecz

biorąc, republiki świeckiej — stanowiło poważny cios dla monarchistyczno-klerykalnego obozu zwolenników reaktywowania rządów królewskich w Polsce. Z chwilą, gdy okazało się, że forma ustroju monarchistycznego nie ma szans realizacji w kraju sasiadującym z widownią wybuchu Rewolucji Październikowej, obóz „królewsko-katolicki” zmienił taktykę i próbował w kształt Drugiej Rzeczypospolitej wcielić jak najwięcej idei ze swego monarchistyczno-klerykalnego programu.

Był to właściwie program bardziej nawet teokratyczny niż klerykalny. Orędzie Episkopatu z dnia 2 listopada 1918 r. głosiło, że Polska powinna stać się „prawdziwym królestwem Bożym na ziemi”. Ubolewano w nim również nad tym, że działają w Polsce siły domagające się „utworzenia państwa bezwyznaniowego” i „wyrugowania religii z życia publicznego”. Pojęcie „królestwa Bożego” nie było tu wyłącznie religijną przenośnią. Prawo kanoniczne pozostać miało bowiem jedyną normą regulującą stosunki pomiędzy Kościołem a państwem. Koncepcję rozdziału Kościoła od państwa należało — jak chciał episkopat — odrzucić jako fałszywą, niemożliwą do wprowadzenia i niesprawiedliwą, a stosunek wzajemny pomiędzy tymi dwiema instytucjami miał być analogiczny jak „stosunek pomiędzy duszą a ciałem”. Należało to rozumieć w ten sposób, że Kościół posiadać ma supremację nad państwem. To już nie był klerykalizm, lecz próba teokracji.

Niepodległa Polska miała być monarchią, a wyłoniła się z procesu dziejowego jako republika. Gdy w maju 1919 roku Sejm Ustawodawczy rozpoczął pracę nad opracowaniem konstytucji, katolicy zwolennicy monarchii postanowili ocalić w ustroju Rzeczypospolitej nadzwyczajne przywileje Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Poseł do Sejmu, arcybiskup J. Teodorowicz zgłosił specjalną rezolucję, w której żądał uznania Kościoła za „państwo w państwie”. Rezolucja ta, odrzucona przez Komisję Konstytucyjną, stwierdzała, iż „Państwo Polskie przyznaje Kościołowi Katolickiemu stanowisko w



Ale upał...

Fot. J. WITOWICZ

MONARCHIA

myśl Jego założenia wraz z pełną swobodą rządzenia się własnymi prawami i rozporządzeniami Stolicy Apostolskiej". Powoływano się tutaj na przepis Konstytucji 3 Maja, którą zresztą — podczas jej uchwalania hierarchia kościelna zwalczała.

Konstytucja 3 Maja należała niewątpliwie do najpiękniejszych kart postępowego ustawodawstwa polskiego i w wielu dziedzinach stanowiła szczytowy wyraz patriotycznej, demokratycznej oraz obywatelskiej troski o dobro Rzeczypospolitej w ostatnich już latach Polski niepodległej. Ale pisano ją i uchwalano w 1791, a nie w 1918 roku. Dlatego też idealizacja wszelkich postanowień Ustawy Zasadniczej sprzed 127 lat była anachronizmem i ahistoryzmem, podobnie jak cały program restytuowania monarchii czy teokratyzowania republiki. Świadome przymykanie oczu na to wszystko, co dokonało się w kraju i poza krajem w ciągu tych 127 lat prowadzić musiało — i prowadziło — obóz spóźnionych jej zwolenników (swoiście ją interpretujących) na manowce wsteczności politycznego i społecznego.

Nie wynika stąd bynajmniej, że Konstytucja 3 Maja nie była dokumentem wspaniałym i na tamtą epokę — postępowym. Ale nie obraża przecież dumy patriotycznej Polaków wyrzeczenie się niektórych, przestarzałych już jej postanowień i za-

stąpienie ich tymi ideami, które w późniejszym okresie zdobyły sobie prawo obywatelstwa. Ideami postępu, demokracji, sprawiedliwości społecznej i świeckości państwa. Tak jak rezygnacja z ustroju monarchistycznego nie była wcale — jak tego usiłowali dowieść jego obrońcy — posunięciem fatalnym w skutkach, antypolskim czy nawet antykatolickim. I tak jak budowa socjalizmu w Polsce nie tylko nie oznacza odejścia od idei patriotyzmu, ale przeciwnie: stanowi prawdziwe jego urzeczywistnienie.

W gorących latach 1918—21, zakończonych uchwaleniem konstytucji marcowej z dn. 21 III 1921 r., spóźniona o przeszło wiek koncepcja monarchii poniosła klęskę. Nie poniósł jednak wtedy klęski całkowitej obóz reakcyjno-klerykalny. Kościół katolicki zachował w Polsce międzywojennej swoją wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję. Nie doszło do demokratycznego i prawdziwie republikańskiego rozdziału Kościoła od państwa! Nie utworzono szkoły konsekwentnie świeckiej ani nowoczesnego świeckiego prawodawstwa. Nie przyznano w praktyce równych praw niewierzącym ani wyznawcom ok. 40 nierzymskokatolickich związków wyznaniowych. Warto o tym pamiętać w 50-lecie niepodległości Polski. Nie przekreślając oczywiście tego wszystkiego, co w zaraniu tej niepodległości było dobre i madre.

Złodzieje skarbów kultury

Turecka prasa bije na alarm: opinia publiczna poruszona jest coraz częściej faktami nielegalnego wywozu bezcennych zabytków kultury. Gazeta „Akmasz” pisze, że na tzw. czarnym rynku za parę dolarów, funtów czy marek można nabyć różnego rodzaju wyroby z ceramiki i brązu, ozdobione szlachetnymi kamieniami, stare monety, a nawet rzeźby starożytnych bóstw, pochodzące sprzed 3—4 tys. lat. Gazeta cytuje konkretne fakty nielegalnej sprzedaży i wywozu skarbów kultury narodowej. W „operacje” te niejednokrotnie wmięszani są zachodnioeuropejscy dyplomaci nadużywający swego immunitetu. Jeden z nich, jak to zostało niezbitnie ustalone, wywiózł w swym bagażu rzeźbę boga urodzaju — bezcenne wykopalisko starogreckie. Dziennik przytacza nazwisko człowieka, który sprzedał kupione za bezcen od wieśniaków zabytki kultury antycznej za 3 miliony tureckich funtów. Zabytki te można było potem podziwiać w jednym z muzeów w Cleveland (USA). Zresztą Turcja nie jest jedynym terenem tego rodzaju kontrabandy. Ze skarbów narodowej kultury ogłaszane są w podobny sposób kraje Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji. Rzecz dziwna, że eksponaty zawsze lądują w muzeach trzech krajów: Anglii, NRF i USA.

JAN ŁYSAKOWSKI

MAZAJUTRZ PO WOJNIE

Mimo zimna ogarniała mnie senność. Wóz turkotał monotonnie, a koń zwalniał coraz bardziej. Wprawdzie woźnica od czasu do czasu machał batem i wołał „wio, gniady”, ale nie przynosiło to większego skutku. Obok kiwał się Włodek. Wsadził nos w kołnierza płaszczka i drzemał.

Ze wszystkiego widać, że dziś nie dostaniemy się do swego oddziału. Zresztą taka podróż mogła się źle skończyć. Noc, ciemno, wiatr gwizdał. Spotkamy jakichś bandytów i nikt nie będzie wiedział gdzie zniknęli dwaj żołnierze wracający ze sztabu.

Rozważyłem sytuację i doszedłem do wniosku, że trze-

ba zanocować na posterunku w Smiechowiu. Tak, to jedyne miejsce. A rano milicjanci zwerbują podwodę i pojedziemy dalej. Traciłem Włodka.

— Wjeżdżamy do Smiechowia — powiedziałem.

— Cholera... — mruknął sennie — jeszcze daleko...

— Tu jest milicja...

— To co?

— Wstąpimy na nocleg...

— Chłopcze, jesteś genialny!

— Włodek od razu ożył — Wspaniale...

Posterunek stał w dużej przerwie między domami. Murowany, z dobrym polem ostrzału budził zaufanie. Znałem go dobrze. Spędziłem

tu kilka dni latem w czasie referendum.

Odprawiłem podwodę i poszliśmy dróżką od gościńca. Poruszyłem kławkę. Zamknięte... Zdawało mi się jednak, że słyszę jakiś ruch — Halo, otwórzcie, tu moi...

Cisza.

— Dwóch żołnierzy, przemocować...

— Skąd jesteście? — głos był niewyraźny. Na pewno stał z boku, żeby nie być w polu ostrzału.

Wymieniłem jednostkę i dodałem: — my moi. Byliśmy tu latem z porucznikiem Bobrem...

Za drzwiami się naradzano. Potem szczerknęła zasawa,

skrzypnęły zawiasy. Z wąskiej szpary wytrysnął snop światła latarki. Przejechał mi po twarzy i padł niżej, na piasek.

— Reszta odejść, piętnaście metrów! — padło ostro, rozkazująco. Włodek posłusznie odliczał kroki. Drzwi uchyliły się szerzej.

— Wchodźcie...

Gdy tylko przekroczyłem próg, drzwi zaraz zatrzaśnięto. Kątem oka dostrzegłem lufę automatu patrzącą w mój brzuch. Naprzeciw stał rosły, trochę zgarbiony mężczyzna.

— Dokumenty! — wyciągnął rękę.

Przeczytał uważnie i skinął głową.

— Wołajcie tego drugiego...

Nie dziwiłem się temu przyjęciu. Akcja przedwyborcza trwała w całej pełni i takie samotne posterunki były często celem napadów. W dużej izbie panował ścisły spokój. Na przyrządach równo zaciągnięte koce, półeczka z menażkami, porządnie ułożone broszurki i gazety, podłoga zamieciona. Stojak z bronią, ułożone rzadkiem granaty, stary znajomy z lata kaem MG-42 wyczyszczony, błyszczał lekką warstwą smaru.

Milicjantów było czterech. Tylko jeden — chudy, piegowaty z rozwidzoną czupryną — z poprzedniego składu. Trzech nowych. Dwóch młodych, prawie jednakowych chłopaków i starszy mężczyzna z dużymi wąsami. Naszywki sierżanta, zniszczona wojskowa bluza, oczy bystre, siwizna gęsto mu przetyka włosy.

— Głodni?

— Trochę, obywatelu sierżancie...

— Pietrek, zagrzej kawy...

Stopniowo ustępowało skrepowanie. Było nam ciepło, syto, wygodnie. Z przyjemnością skręcaliśmy papierosy.

— Luksusów nie mamy — mówił sierżant — ale jakoś się żyje...

— Spokojnie?

— Jakoś idzie... — sierżant zaśmiał się cicho — uważamy dzień i noc...

Dopiero teraz, gdy usiadł w pełnym blasku lampy dostrzegłem na mundurze baretkę Krzyża Walecznych

— To obywatel sierżant stary żołnierz...

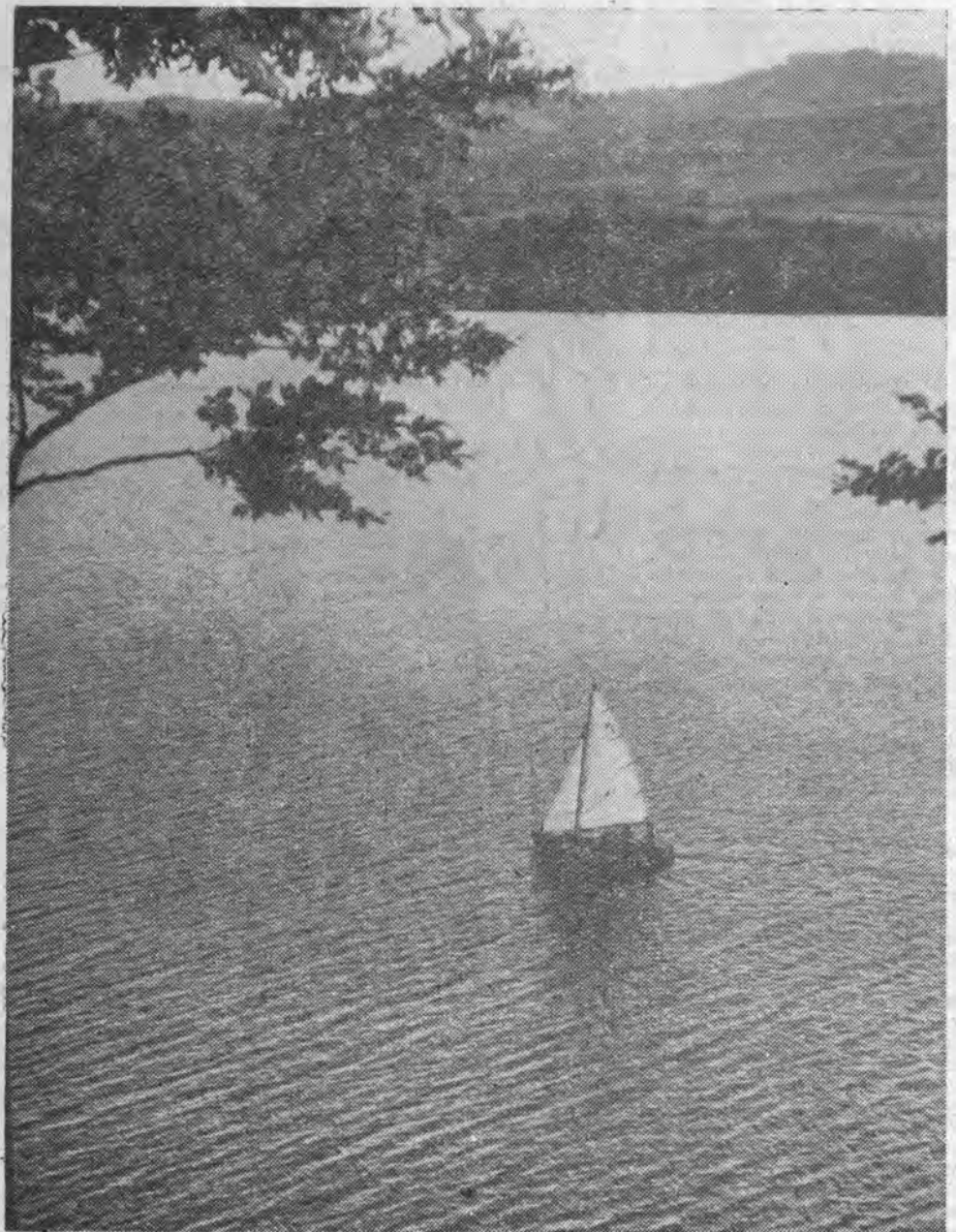
— A tak. Po czym sędzicie?

— Krzyż Walecznych.

(Ciąg dalszy na str. 6)

Bieszczadzkie

morze



Pupilka Hitlera autorką książki

W Niemczech zachodnich utrzymuje się moda na książki autorów, których nazwiska stały się głośne w latach III Rzeszy. Najnowszy przypadek: edycja powojennych wspomnień Hanny Reitsch, stawionej przez hitlerowców pilotki, tej samej, która usiłowała wywieźć Hitlera z oblężonego już przez wojska radzieckie Berlina w kwietniu 1945 roku. 56-letnia obecnie Hanna Reitsch opisuje w swojej książce pt. „Latałam dla Kwame Nkrumaha” wieloletni pobyt w Ghanie, gdzie zatrudniona była jako wykładowczyni w szkole szybowcowej. Jak zawsze w takich wypadkach, książce sławnej z lat panowania Hitlera autorki nadaje się w NRF wielki rozgłos.

JAN ŁYSAKOWSKI

NAAZAJUTRZ PO WOJNIE

(Ciąg dalszy ze str. 5)

— Nie, to już dostałem w milicji...

— W milicji? Tu, w Smiechowcu?

— Jeszcze zarobiony w Sułkowie...

— Nasz komendant — wtrącił się piegowaty — obronił tam posterunek...

— No, no — sierżant poglądził wasy — nie rób mi reklamy...

— Kiedy to prawda...

— Wiździe, jestem taki składany — śmiał się sierżant — stopień z frontu, Krzyż stąd...

— Można coś zapytać? — komendant zaciekawiał mnie coraz bardziej.

— Pytaj...

— Nie sprzykrzyło się wojować?

Namyslał się chwilę. Patrzył na szerokie, mocne dłonie, potem sięgnął po tytoń.

— Jeszcze jak... — powiedział cicho — mam dość...

— To czemu obywał sierżant, to znaczy... — nie wiedziałem jak wybrnąć, żeby go nie urazić — to przecież ciężka służba...

— Powiedz prosto czemu nie siedzę w domu na stare lata?

— Ja to nie tak, ale prawie o to chciałem zapytać...

— Rozumiem, dziwisz się. Jestem niemłody, po froncie poszedłem do milicji. Ale tak trzeba...

Milczał chwilę. Potem przypalił potężnego skręta i zaciągnął się głęboko.

— Młody jesteś, w wojsku na pewno krótko. Byłeś na froncie? Nie? Otóż to. A ze mną sprawa prosta i nieprosta. Zależy jak patrzeć. Pewnie, zbrzydło strzelanie... Czas by iść do domu, popracować w gospodarce...

W piecyku trzaskalo drzewo. Blask ognia tańczył po suficie. Sierżant oparł ręce o stół, patrzył gdzieś ponad lampę. Siedzieliśmy bez ruchu, bez najmniejszego gestu. Opowieść szła wolno, płynnie, jakby jakiś film.

— Mam kawałek ziemi pod Jasłem. Niedaleko, tylko ręką sięgnąć... Zmobilizowali w trzydziestym dziewiątym i na wojnę. Cofałem się aż do Lwowa. Tam nas rozbrojono. Nie wróciłem, choć tutejszych zwalniano. Jakoś mi nie było pilno do Hitlera. Bałem się zresztą, bo to człowiek coś niecoś przeciw dywersantom działał. Pozna taki i koniec... Pracowałem tu i tam, aż znów wojna. Odkoczyłem dalej na wschód. Trafiliem do batalionu pracy. Przeżyło się dużo różności. Wreszcie nasze wojsko, trzecia dywizja, cały szlak bojowy aż do Łaby. Moja stara też ocalała. Nazajutrz po wojnie demobilizacja i do chałupy. Człowiek pijany z samej radości. Nareszcie u siebie... Po prawdzie to miałem już dość wszystkiego i najwięcej myślałem o robocie u siebie. Ale jak to na ws. Zobaczyli bywało w świecie człowieka i po radę chodzą. Nie powiem, rozeznanie to tam jakie takie było, przecież robiono nam wykłady polityczne, gazety czytałem, książki nawet różne. Więc radzą sąsiadom co do ziemi, spółdzielni, samopomocy chłopskiej, Mikołajczyka. Powiedziałem głośno raz i drugi co myślę, jak moim zdaniem trzeba postąpić. Ano, myśleć to myśla-



Rys. J. SIENKIEWICZ

łem dobrze, tylko to innym nie zawsze w smak było. Choć siedziałem u siebie, nie chciałem zajmować się polityką, dostrzegli mnie. Najpierw władza z powiatu. Przyjechali, gadali: wy człek świadomy, walczyliście o tę Polskę demokratyczną, nie można zostawać na uboczu. Człowieka ciągnęło w pole, a oni tak wciąż gadali. Wreszcie miałem dość i powiedziałem krótko: walczyłem, wywalczyłem, że mnie wystarczy... Macie ją, Polskę naszą i urządzajcie jak tam trzeba. Ja teraz muszę własną gospodarę po babskich rządach doprowadzić do porządku. To jeden taki, sekretarz partii, głową pokiwiał: nie chcecie wy do polityki, to ona trafi do was. Jeszcze do nas przyjdziecie... Dziś myślę o tym i mówię sobie, że to mądry człowiek. Jakby z góry wiedział co będzie. Bo przyszła ta polityka do mnie, przyszła. Nocą ciemną zalotowali kolbami i zaraz krzyczą: „otwieraj, bo spalimy”... Cóż, odsunąłem zasuwkę, a tu wlaź ich kilku. Automaty w garści, twarze złe... Dowódca, a jakże, w mundurze z gwiazdkami, zaczął od razu:

— Dobry wieczór, bolszewiku...

— Jestem bezpartyjny — powiadam.

— Milcz, bydlaku, my dobrze wiemy...

Zatrząsło się we mnie, ale co zrobisz. Lufy patrzyły prosto w piersi. Tylko pocisnąć spust...

— Gdzie legitymacja?

— Nie mam nijakiej...

— Milcz!

I taka gadka idzie bez przerwy. Co pytają, a ja chcę odpowiedzieć, to on czerwie nie na pysku i krzyczy „milcz”. Stoję więc i nie wiem co robić. A tu jeden szpera po izbie, przestrzasa szuflady. Pieniądze zabrał do grosza. Buty, dobre jeszcze przedwojenne, też wziął. Wreszcie natknął się na odznaczenia. Medale... Był tam i radziecki „Za pobiędu”. I podziękowanie od samego Naczelnego Dowódcy, marszałka Stalina. Każdy kto był na froncie miał takie. Jak ten niby to porucznik przeczytał, to skoczył jak zwierzę.

— Ty łotrze! — krzyczał — czerwone bydlę! Zastrzele... Pistolet w garści i wywijają mi nim pod nosem. Myślę: strzeleli jak nie... Co u takiego znaczą ludzkie życie? Tyle co splunąć... Wtedy mróz mi przeszedł po kościach, jak przed atakiem. Zginę, to zginę, ale strachu nie okazał przed byle draniem.

— Ojczyzny bronilem — mówię — wyrwałem ją z niewoli...

— Żeby w drugą wprowadzić. Chcesz tu Sowietów...

— Strzelał do mnie Niemiec, nie zastrzelił... Możecie go poprawić...

...Popatrzył ten dowódca na swoich, a ci mają niewyraźne miny. Trochę im było głupio, tak frontowca poniewierać. Dlatego chyba życia nie zabrał...

— Dwadzieścia pięć batów — rozkazał — żeby pamiętał... Bili i dogadywali.

— Za ten hektar dworskiej ziemi, za członkostwo w ko-

mitacie sklepowym, za gadanie przeciw premierowi Mikołajczykowi, za sowiecki medal... Niczego nie pominęli, wszystko dobrze wypisali mi na skórze. Krew mnie oblała, leżałem jak bez duszy. Oni jeszcze wszystko w izbie rozbili, garnki, miski, co się dało. — Pamiętaj — powiedział od progu ten najstarszy — jeszcze się coś dowiemy, to kula w łeb...

Ot i masz spokojną pracę na gospodarce... Kurowałem się, a tu ciągle myślę i myślę. Nijak nie wychodzi, tylko trzeba na nowo mundur wkładać. Nie skończona moja robota, dopóki tacy chodzą po naszej ziemi. Płakała moja stara, lamentowała, ale wreszcie i ona przyznała mi rację. Kiedy zgłosiłem się do tego sekretarza, to nawet nie okazał zdziwienia. A ja mu wałę prosto: dajcie automat i partyjną legitymację. Ja już świadomy...

— Przekonaliśmy was? — pyta.

— Nie, ich baty mnie rozumu napędziły do głowy...

— No cóż — powiada i wyciąga rękę — damy...

Ze mną jeszcze paru żołnierzy przyszło do milicji. Ja dostałem posterunek w Sułkowie. Wieś duża... Znacze ją? No, to sami wiecie. Tam było jakby zawieszenie broni. Posterunek siedział cicho, oni go też nie zaczepiali. Oho, myślę sobie, nie po to ja drugi raz wziąłem automat. Chłopków miałem czterech. Zaraz ich ująłem mocno w garść. Patrole, wypadki, zasadzki... Skończyły się dobre czasy dla bandy. Przeszła iść żywność, wpadł jeden i drugi łącznik, potem zlapaliśmy paru z bronią. Oni też się szybko odezwali... Przyszali mi wyrok. A jakże, napisany na maszynie, z pieczęcią. Za działanie na szkodę Polski, taki to a taki wyrokiem sądu wojskowego zostaje skazany na karę śmierci. Cóż, akurat znaleźliśmy u jednego gościa sporo granatów. Nie oddałem do powiatu. Posterunek piętrowy, murowany. Myślę sobie: jakoś wytrzymamy...

...Zimno było, już listopad. Siedzimy tak sobie jak dziś, gadamy. We trzech, po dwóch poszło na wieś. Młodzi, mieli jakieś znajome panny. Kto

wie jakby poszło, żeby nie głupota ich dowódcy. Wszystko chciał robić z szumem. To i zaczął od pięści pancerne. Celowali we drzwi, a trafili w ścianę. Huk jak diabli! To my do okien i po nich. Broń była zawsze gotowa. Zaraz zmiarkowałem, że to nie przelewki. Nasze trzy automaty przeciw ich chyba pięćdziesięciu. Przykryli ogniem... W środku tylko drzazgi leciały. To my wtedy za granaty. One to, kochane, nas uratowały... Gdy tylko chcieli pod osłoną ognia podejść bliżej, my rzucaliśmy granaty... Bezpiecznie zza muru. Odlamki kości wszystko dokoła. Potem nas dwóch zostało, bo Stefek Klimas dostał w szyję. Ledwo mu zatrzymałem krew. Długo to trwało, człowiek czasu nie liczył... Zaciekłość nas ogarnęła, aby nie dać się... Wreszcie patrzę, a tu mało amunicji i granatów tylko kilka. Oni zaś biją... Patrzymy jeden na drugiego. Chyba ostatni nabój wy pada zostawić dla siebie. Ale jest w sąsiedztwie taka wioska, Ruda... Sławna wieś, bojowa... Z faszystami walczyli bez pardonu. Mieli swoją własną samoobronę. Usłyszeli walkę, podeszli. Spotkali oczywiście ubezpieczenie bandy. Wysła z tego ostra strzelanina. Dowódca bandy się wystraszył. Noc, ciemno, nie wie kto i ilu naciera... Więc gdy my tak dumaliśmy nad śmiercią, to on zbierał się do odwrotu...

...Na froncie było różnie. W takim Kołobrzegu na przykład przeszedłem piekło. Ale dopiero w Sułkowie poznałem co to walka na śmierć. Jak przyjechali potem z powiatówki, to nie chcieli wierzyć własnym oczom. Budynek postrzelany, okna poszły w diabły, w środku ruina. Tynk odleciał, sprzęty w drzazgach. Bandziórów było coś z siedemdziesięciu. Cała siła „Grzmota”. Tak zeznawali jeńcy... Niedługo mnie wezwano do komendy, dali krzyż i skierowali tu...

...Tak to jest chłopaki. Człek stary, ciężko już wojować, czas by do domu. Ale jak? Najpierw trzeba zniszczyć robotactwo co go obsiadło. Zresztą co to za gospodarz, co nie kończy zaczętej roboty? Wstyd i hańba. Myślałem, że dojdę do Łaby i dość... A tu trzeba jeszcze Śmiechów od faszystów uwolnić... To i robię...

Ostatnia, ocalała w rękopisie powieść znanego prozaika i dramaturga lat międzywojennych. Znalazła wydawcę dopiero po 35 latach. Traktuje o współczesności. Mówi o moralności burżuazyjnej, jest odskocznią do przedstawienia poglądów autora na sztukę.

Michał Choromański: W RZECZ WSTAPIC. Wyd. Poznańskie, s. 516, cena 40 zł.

Pisarz starszego pokolenia. Jak zwykle u niego powieść obyczajowa z dużą skłonnością do satyry. Tym razem środowisko inteligencji i arystokracji widziane oczami kilku osób. Okres dwudziestolecia międzywojennego.

Adam Cabała: ARSENAŁ GROBOW. Wyd. Literackie, s. 273, cena 28 zł.

Autor był więźniem obozu w Dorze, gdzie Werner von Braun realizował swój program produkcji V-1 i V-2. Cabała przebywał od 1955 roku w NRF, gdzie zebrał wiele materiałów naukowych o produkcji „Wunderwaffe”, okresie jej przygotowania. Otrzymałszy więc w sumie pozycję, która obok przedstawienia genialnego życia obozowego daje obraz stosunków w nauce Niemiec faszystowskich, gdzie bez skrępowania wykorzystywano najnowsze zdobycze nauki i niewolniczą siłę ludzką, aby za pomocą broni zniszczyć świat.

Jonas Karosas: MÓWIA KAMIE- NIE WILNA. Przel. A. Lau-Gnia- dowska, KiW, s. 386, cena 24 zł.

Okres dwudziestolecia międzywojennego. Ta książka stojąca na pograniczu literatury pamiętnikarskiej i reportażu historycznego odtwarza kalejdoskop narodowościowy i wyznaniowy Wilna lat 1926—1931. Na kartach tej książki spotykamy nazwiska tej rangi co Maksym Tank, i inni.

Wacław Biliński: NAGRODY I OD- ZNACZENIA. MON, s. 388, cena 22 zł.

Ciekawą jest budowa tej książki. Otóż akcja jej rozgrywa się w przy- frontowym szpitalu. Historia trzech młodych ludzi jest zarazem historią



Michał Trachman: DWA SPOTKA- NIA. Wyd. Lubelskie, cena 70 zł.

Wydanie w dwóch językach: pol- skim i rosyjskim w jednym tomie zbiorów fotografów radzieckiego fotografa, który wraz z Armią Ra- dziecką brał udział w wyzwoleniu ziem polskich. Fotografował oddzia- ły Armii Ludowej i innych oddzia- łów partyzanckich. Po dwudziestu latach przybył ponownie do Polski. Staral się uchwycić te same objek- ty. Ciekawe zdjęcia Lublina i War- szawy głównie. Na cześć 20-lecia Polski Ludowej, w trybie nieco spóźnionym wydane. Ale warto po- oglądać na rok przed dwudziesto- pięcioletniem.

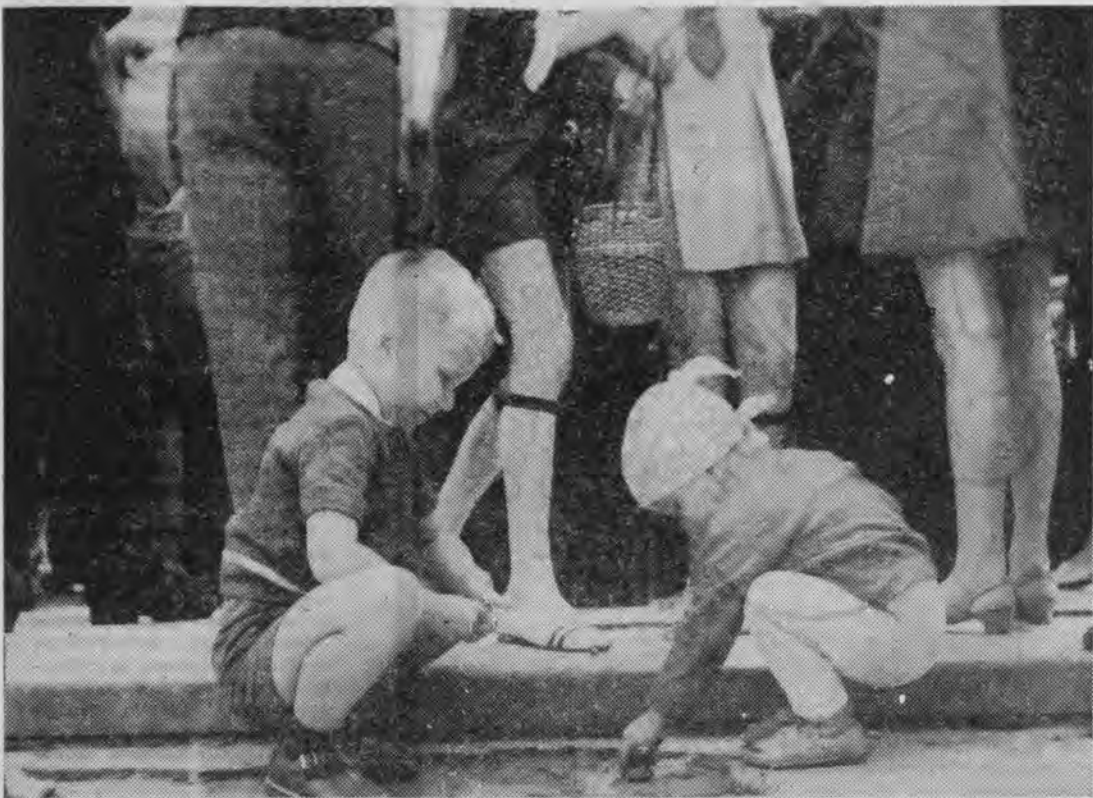
Jan Dziezic, Tadeusz Walichnow- ski: WOKÓŁ AGRESJI IZRAELA. KiW, s. 184, cena 14 zł.

Zamieścił „Widnokrąg” niedawno recenzję tej książki. Dziś tylko dla porządku sygnalizuję ją w tym miejscu. Sygnalizuję tym bardziej, bo sprawa, o której pisze spółka autorów nie doczekała się do dziś dnia pozytywnego rozwiązania. Piszą dwaj znawcy problemu.

PROZA. POEZJA 1967. Wybór szkiców i recenzji. Wybór i układ Zenona Macużanka. Słowo wstępne Włodzimierz Maciąg. KiW, s. 292 ce- na 20 zł.

Jest to już czwarty kolejny tom omawiający, prezentujący najbar- dziej dyskutowane pozycje roku mi- nionego.

Stanisław Ignacy Witkiewicz: JE- DYNE WYJSCIE. PIW, s. 255, cena 25 zł.



„Wielka gra”

Fot. M. KOPEC

Autor przybywa...

W wielu środowiskach naszego województwa i kraju bardzo atrakcyjną imprezą kulturalno - oświatową są spotkania autorów z czytelnikami, organizowane przez biblioteki i inne instytucje oświatowe. Mają one u nas już bogatą tradycję i tendencję stałego wzrostu. Ze zrozumiałych względów są to najczęściej spotkania autorów książek z dziedziny literatury pięknej — powieściopisarzy i poetów — z młodzieżą i dorosłymi czytelnikami, rzadziej — autorów książek fachowych, naukowych i popularnonaukowych z czytelnikami tych książek. Jako bardziej dostępne, literatura piękna cieszy się zarówno u młodocianych, jak i dorosłych czytelników większą popytem niż książki naukowe, stąd spotkania z powieściopisarzami czy poe-

tami stają się dla nich bardziej dostępne i atrakcyjne od spotkań z naukowcami, specjalistami jakiejś wąskiej dziedziny wiedzy. Organizatorzy tych spotkań napotykają w swej pracy wiele trudności, które odbijają się czasem ujemnie na przygotowaniu i przebiegu spotkania. Trudności te wynikają nie tylko z braku doświadczenia u niektórych organizatorów, ale także z braku literatury metodycznej, dotyczącej omawianego zagadnienia. Chcąc przyjść z pomocą metodyczną organizatorom spotkań autorskich, głównie pracownikom bibliotek, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich wydało ostatnio niedużą rozmiarami, ale bardzo pożyteczną książkę Jana Makaruka pt. „Autor przybywa”. Egzemplarze sygnałne tej książki można znaleźć już w księgarniach naszego województwa.

Autor książeczki w uwagach wstępnych, zatytułowanych „Autorzy i czytelnicy” i „Dla ciebie czytelniku”, snuje rozważania ogólne na temat stosunku zachodzącego między autorem a czytelnikiem oraz na temat spotkań i potrzeby ich organizowania. Po tych uwagach wstępnych, wprowadzających czytelnika w zagadnienie, autor daje mu obraz „Z przeszłości spotkań” — od obiadów

czwartkowych Stanisława Augusta Poniatowskiego, przez okres nieuoli i dwudziestolecia międzywojennego do powojennego rozmachu w organizacji spotkań autorskich.

Czytelnik znajduje w pracy Makaruka obok rysu historycznego wiele uwag i wypowiedzi autorów o spotkaniach z czytelnikami, organizatorów spotkań i czytelników. Tę część zamykają „Zyczenia stron”. Na drugą część książki, chyba najbardziej interesującą dla bibliotekarzy, składają się „Zasady organizowania spotkań” z czytelnikami i uwagi metodyczne o ich przygotowaniu i przeprowadzeniu. Organizator spotkań znajduje tu wiele pożytecznych wskazówek, jak przygotować i przeprowadzić spotkanie z powieściopisarzem, autorem książki niebeletrystycznej, tłumaczem książki, autorem utworu scenicznego i redaktorem czasopisma.

Aby wyczerpać całokształt zagadnienia, Makaruk zamieścił w swej pracy również wyczerpujące informacje na temat spraw finansowych spotkań — honorariów.

Wywody Makaruka zamykają ogólne „Uwagi i wnioski” na temat podany w tytule.

Książka „Autor przybywa” winna zwrócić uwagę na siebie zarówno pracowników bibliotek i innych instytucji kulturalno-oświatowych jako organizatorów spotkań, jak i nauczycieli różnych typów szkół.

FRANCISZEK ŚWIDER

W Tuszowie Narodowym a nie w Padwi

SZANOWNY REDAKTORZE! W „Widnokragu” nr 28 (354) z dnia 13 i 14 lipca 1968 r. ukazała się korespondencja pt. „O krajanie — generale Władysława Sikorskim”. Postać generała Władysława Sikorskiego jest znana mieszkańcom powiatu mieleckiego. Jednakże jesteśmy niemile zaskoczeni i zdziwieni, że Franciszek Kotula, który tak dokładnie relacjonuje inne fakty z życia generała — podał w swej korespondencji fałszywe miejsce jego urodzenia. Ojciec generała był nauczycielem szkół ludowych nie w Padwi Narodowej, a dokładnie w Tuszowie Narodowym i tu właśnie urodził się 20 V 1881 r., syn Władysława Eugeniusza późniejszy generał. To właśnie w Tuszowie Narodowym, jest

wmurowana wspomniana tablica na budynku mieszczącym aktualnie Prezydium GRN.

Powyzsza informacja jest do sprawdzenia w aktach będących w Gromadzkiej Radzie Narodowej oraz we wspomnieniach Strumph-Wojtkiewicz znanego biografii generała.

Natomiast w celu szybkiego sprawdzenia, przesyłamy Panu, Panie Redaktorze fotokopię świadectwa urodzenia z Urzędu Parafialnego w Tuszowie Narodowym, w którego księgach metrycznych z roku 1881 widnieje adnotacja o urodzeniu Władysława Eugeniusza Sikorskiego. W imieniu zainteresowanych mieszkańców Tuszowa Narodowego

STANISŁAW MAKSON
Mielec-Osiedle

Korespondencja

Przyjaciel młodzieży i nauczycieli

Wielkie wydarzenia i przeżycia zaczynają się najczęściej w sposób nie zapowiadający nic ciekawego. Gdy na zajęciach programowych II roku Studium Kulturalno-Oświatowego w naszym SN — omawiałam techniczny proces kształtowania dzieła sztuki w różnych dziedzinach plastycznych oraz rolę artysty w tym procesie, studenci nie odzwalali przeżyć, których to zagadnienie miało im dostarczyć. Problem ten należy do tego rodzaju zagadnień, w których sama teoria nie da właściwego pojęcia o technice tworzenia dzieła sztuki; nauczyciel wychowania plastycznego musi skontaktować młodzież z artystą i jego warsztatem pracy, jak również ze sposobem realizowania tego, co chce wypowiedzieć w stworzonej przez siebie wizji artystycznej, czyli kompozycji plastycznej.

W Przemysłu mieszka znany artysta plastyk Marian Stroński. Pewnego dnia przyjął nas bardzo serdecznie w swym domu. Wprowadził bezpośredni kontakt z naszą kilkunastoosobową grupą. Z jadalni, w której podziwialiśmy oryginalną chińską porcelanę, antyczne zegary, puchar srebrny z XVI w. weszliśmy krętymi schodami do pracowni malarzkiej wypełnionej różnymi obrazami. Dowiedzieliśmy się, że artysta przygotowuje wystawę związaną z jego 50-leciem pracy. Czuliśmy się onieśmieleni specyficzną atmosferą sztuki, z którą przeciętny człowiek nie ma kontaktu.

Studenci zajęli miejsca, siadając na stylowych fotelach i urzeczony atmosferą — słuchali z zaciekawieniem mówiącego o sztuce mistrza. Użył tam tego określenia, bo tak oceniają Mariana Strońskiego, znawcy tej dziedziny, a ja chciałam jeszcze powiedzieć o mistrzostwie w nawiazaniu bezpośredniego kontaktu z młodym słuchaczem i o stworzeniu atmosfery, w której rozwija się rozumienie dla sztuki i jej roli w życiu każdego człowieka.

Słuchając Mariana Strońskiego przeżywa się razem z nim, to, o czym mówi, rozumie się terminy i określenia fachowe oraz opinie artystyczne. Jego oddziaływanie osobiste za pośrednictwem ekspresji słowa jest

wynikiem głębokiej wiedzy, szerokiego horyzontów malarzskich i perspektywicznego dążenia z życiową teraźniejszością.

Marian stroński czaruje i urzeka ludzi swoją dynamiczną umiejętnością przekształcania samego siebie jako plastyka, co wyraża się w jego sposobie pracy. Młodzież pod działaniem środowiska artystycznego pracowni malarza i bezpośredniego osobistego kontaktu ze znanym plastykiem pogłębiła umiejętność dokonania analizy dzieła sztuki. Studenci zrozumieli, że w tym wypadku decydują formą, kompozycją, kolor, walor, faktura, itd. Rzeczywistość dzieła ukazana przez Mariana Strońskiego, przemawiała do jego młodych gości doskonałym rysunkiem, harmonią barw — żywym życiem artysty i indywidualnymi cechami jego osobowości. Widzieliśmy prace olejne, grafiki i monotypy, przedstawiające pejzaże, martwe natury, kompozycje, portrety. Młodzież przeżywała własne rozumienie dzieła sztuki i zadania artysty w procesie jego tworzenia, roli jego nakładu pracy umysłowej, wytrwałości, poświęcenia. Zrozumieli, że artysta musi wybiegać poza tradycyjne konwencje plastyczne i tworzyć nowe formy, które są interesujące i ciekawe. Oglądając współczesne prace Mariana Strońskiego i słuchając analizy artystycznej tych dzieł zrozumieli, że sztuka współczesna nie jest sztuką wyobrażającą, ponieważ jest oparta na odczuwaniu od konkretnego wyobraźni artysty.

Doszli oni do wniosku, że jest uzależniona od stopnia twórczości wysiłku i rzetelności artysty, od jego inwencji twórczej, od posiadanej wiedzy. Po takiej lekcji „pokazowej” ilustrowanej oryginalnymi dziełami sztuki i w osobistym kontakcie z artystą, moi uczniowie zaczęli rozumieć techniczną stronę procesu powstawania dzieła sztuki. Zrozumieli, że jest ona związana mocno z epoką, w której powstaje, że może ją wyprzedzać, artysta natomiast może wpływać na tworzenie i kształtowanie kultury. Młodzież przekonała się, że aby być twórcą sztuki trzeba wiele umieć, przeżyć, widzieć, czytać, myśleć.

JOANNA BURY

Z wizytą u Remarque'a

Erich Maria Remarque ukończył niedawno 70 rok życia. Niemiecka dziennikarka Sibilla opowiada w tygodniku „Stern” o swym spotkaniu z pisarzem w jego rzymskim mieszkaniu:

— Co roku Remarque spędza kilka miesięcy w Rzymie, w swoim mieszkaniu z widokiem na Plac Hiszpański. Odwiedzamy pisarza w jego domu. Gospodarz — przystojny, elegancki starszy pan. W sposobie poruszania się widać, że przeszedł ciężką chorobę. Obok niego — jego żona Paulette Goddard, ongiś gwiazda Hollywoodu, partnerka Chaplina w „Dziśniejszych czasach” i „Dyktatorze”.

Gospodarz proponuje wino. Mimo woli przypominamy: koniak w „Na Zachodzie bez zmian”, rum w „Trzech towarzyszach”, calvados w „Luku triumfalnym”. Remarque śmieje się: „Właściwie to wcale nie lubię calvadosu. Długo myślałem, co mógłby być mój bohater w ówczesnym Paryżu — uchochodzą Rawik nie był zbyt bogaty. Pisarz opowiada, że wybrał w końcu calvados, bo podobna mu się ta dźwięczna nazwa. Moim zdaniem, bardzo wzrósł popyt na ten trunk od chwili ukazania się książki. W jednym ze sklepów w Nowym Jorku sam widziałem swoją powieść na wystawie pośród beczulek z tym jablecznikiem”.

Remarque przypomina, jakie gromy spadły nań ze strony krytyki po ukazaniu się „Na Zachodzie bez zmian”. Zarzucono mu karykaturalność postaci żołnierzy, że nęcanie się nad swymi bohaterami i inne „grzechy główne”. Ale nie z powodu krytyków skrył się

wówczas pisarz przed oczami ludzkimi. Po prostu przerażony był niesamowitą wręcz popularnością książki; powieść „Na Zachodzie bez zmian” obiegła cały świat. Przetłumaczono ją na 32 języki.

W roku 1939 emigrant Remarque, po kilku latach pobytu we Francji i Szwajcarii, przedostał się do USA z meksykańskim paszportem. „Kto tego nie przeżył — mówi pisarz — temu trudno będzie wyobrazić sobie, czym jest życie bez paszportu, jak bezbronny jest wówczas człowiek. Swoją niemiecką paszport dawno już utracił. W 1932 roku dano mi do zrozumienia, że powinienem opuścić kraj.

Natychmiast po zagarnięciu władzy przez hitlerowców moje książki zostały publicznie spalone w Berlinie, a premiera filmu „Na Zachodzie bez zmian” nie odbyła się wskutek zaaranżowanych przez Goebbelsa ekscesów bojówkarzy. Wkrótce potem pozbawiono mnie obywatelstwa niemieckiego. W tych to strasznych latach stracono moją siostrę Elfrydę za nawoływanie do walki z faszyzmem. Na wyrok wpłynęła niewątpliwie i ta okoliczność, że była moją siostrą”.

Remarque niechętnie mówi o swej najnowszej powieści. „Jestem człowiekiem starej daty, lubię pisać w ciszy, z dala od ludzkich oczu. Notabene, napisałem już 150 stron”.

Pisarz w zadumie spogląda na rozpościerający się u jego stóp Rzym. Remarque ma 70 lat. Jest ciężko chory na serce. „Jakie świeże powietrze. Czuję się bliskość morza. Tak lekko tu oddychać” — mówi na pożegnanie.

trudnego roku 1944 i dzięki retrospekcji historii pokolenia. Wartka, trzymająca w napięciu akcja. II nagroda w konkursie MON.

Henryk Vogler: **EUROPA W ŚWIATŁACH RAMPY**. Szance. Wyd. Literackie, s. 308, cena 25 zł.

Książka składa się z dwóch części: w pierwszej autor zamieszcza swe impresje natury głównie kulturowej na temat zwiedzanych przez siebie krajów. Część druga stanowią pisanie na gorąco wrażenia z przedstawień najlepszych teatrów świata oglądanych przez krakowskiego krytyka teatralnego na scenach polskich.

Waldemar Babinić: **ZACZAROWANE ŁASKI**. Wyd. Łódzkie, s. 180, cena 10 zł.

Wasył Kocznow: **MUSZLA**. Iskry, s. 82, cena 10 zł.
Rosjanin wyklada w Polsce literaturę i język rosyjski. Jest to tom wierszy pisany po polsku, ale z tradycjami poetyckimi naszego wschodniego sąsiada.

POSZUKUJĄC SŁOWA. Antologia poetów lubuskich. Pod red. Z. Bieńkowskiego. Wyd. Poznańskie, s. 190, cena 15 zł.

Leon Gomoliński: **WYDARZENIE**. PIW, s. 220, cena 15 zł.

Grozdana Olujić: **NIE BUDZ SPIĄCYCH PSÓW**. PIW, s. 205, cena 15 zł.
Tłum. M. Krukowska. Powieść psychologiczno-sensacyjna.

Olgierd Czerniewicz: **CHWAST**. Wyd. Literackie, s. 384, cena 20 zł.
Debiut pisany w formie wspomnienia starego tapicera.

Franciszek Langer: **OPOWIADANIA FILATELISTYCZNE**. KiW, s. 193, cena 11 zł.

Tę książkę zmarłego w 1965 r. pisarza czeskiego przełożył A. Piotrowski.

Karol Szpalski i Marian Zalucki: **ANANASY Z NASZEJ KLASY**. Wyd. Literackie, s. 64, cena 15 zł.

NA NASZYM EKRANIE

Renato Salvatori

Urodził się 19 marca 1933 roku w Porte de Marmi w Toskanii. Kiedy podrosł, zamierzał zostać marynarzem i w tym celu rozpoczął naukę w szkole morskiej, którą ukończył z dyplomem żeglarza. Jego drogi życiowe skrzyżowały się jednak z drogą znanego reżysera Luciano Emmera i to zdecydowało o dalszych losach Renato.

W roku 1952 Emmer proponuje w Viareggio 19-letniemu chłopcu rolę w swoim nowym filmie o młodych rzymiankach i Salvatori, zaintrygowany filmowymi możliwościami, zgadza się na to. Film ma ogromne powodzenie, a choć na plan pierwszy wysunęła się w nim cała gromadka młodzieńców, ładnych aktorów, to jednak Renato został także zauważony, no i... poślknął bakcylią X Muzy.



Rozpoczyna naukę aktorstwa i od roku 1957 rozpoczyna swą karierę, grając początkowo niepokazane, drugoplanowe role w różnych filmach, by z czasem przejść stopniowo do większych i ciekawszych. Duży sukces odniósł w filmie „Biedni ale piękni”, i od tamtej pory jego popularność ciągle wzrasta. Ugruntowują ją role w takich filmach, jak „Sprawcy nieznani”, „Noc w Rzymie” i „Matka i córka”. Renato Salvatori wchodzi do czołówki włoskiego aktorstwa filmowego, reżyserzy proponują mu coraz to nowe role. Kręci od dwóch do czterech filmów rocznie, jego talent z biegiem czasu rozwija się coraz bardziej.

Dużym sukcesem aktora stał się zrealizowany w roku 1960 film Luchino Viscontiego „Rocco i jego bracia”. W znakomitej obsadzie (Alain Delon, Annie Girardot, Paolo Stoppa, Claudia Cardinale) Salvatori jest równorzędnym, ba wyróżniającym się partnerem. Rolę tragicznej postaci filmu — Simone (brata Rocco) zagrał bardzo sugestywnie i przekonująco.

Specjalnością Renato Salvatori stają się postacie negatywne, ale aktor nie buduje swoich kreacji jednostronnie, w samych czarnych barwach. Nadaje swoim bohaterom cechy ludzkie, ukazując ich słabości, ale zarazem i dobre strony charakteru. Podkreśla, że na niszczący rozwój człowieka ogromny wpływ mają warunki w jakich żyje, stosunki i prawa rządzące społeczeństwem kapitalistycznym.

Salvatori bowiem nie zadowolony jest swoją filmową karierą, nie wyobcowuje ze środowiska, w którym wyrosł. Jego ojciec i bracia byli aktywnymi działaczami

włoskiego ruchu robotniczego, on sam, idąc za ich śladem, znalazł się w szeregach Włoskiej Partii Komunistycznej.

Działalność społeczna, studiowanie historii walk włoskich robotników pozwoliły mu przekonująco zagrać rolę lamistrajka Raula, ubożego Sycylijczyka, który znalazł się w kolizji ze strajkującymi robotnikami Turynu w filmie Mario Monicelli „Towarzysze”, dziele społecznie zaangażowanym, o dużej sile artystycznej i ideowej.

Film „Smog”, wchodzący na nasze ekrany, w którym zobaczymy Renato grającego rolę Mario — młodego emigranta włoskiego, usiłującego dorobić się czegoś w Stanach Zjednoczonych — nie jest ostatnim filmem tego aktora. Powstał osiem lat temu, w roku 1960 i od tej pory Salvatori zagrał w wielu innych (w sumie ma na swoim koncie aktorskim ponad 30 ról filmowych i wiele teatralnych). Należy sądzić, że jeszcze niejednokrotnie ujrzymy go na naszych ekranach.

(sz)

Kolorowe myśli

Najtrudniej w stosunku do kobiet podejmować męskie decyzje.

I niedosypiając można przespać życie.

Nie trzymajmy kciuków za tymi, którym potrzebna jest pomocna dłoń.

I sztuka mięsa bywa tylko sztuką dla sztuki, gdy nie nadaje się do jedzenia.

Film „Rzym — miasto otwarte” własnością NRF

Wielkie poruszenie wywołała we Włoszech wiadomość o sprzedaniu do NRF oryginalnej kopii słynnego filmu Roberta Rosselliniego „Rzym miasto otwarte”. Oburzająca ta decyzja — pisze „Unita” — oznacza w praktyce, że niemiecki dystrybutor nie będzie miał monopolu na eksploatację tego filmu. Gdy zużyją się istniejące obecnie kopie, sporządzenie nowych uzależnione będzie od wdzimisię niemieckiego właściciela.

„Unita” przypomina, że film Rosselliniego przez wiele lat był zabroniony w NRF pod zarzutem „szkalowania narodowego honoru Niemców”. Niedawno dopuszczono go na tamtejsze ekrany, ale w jakim stanie! Wycięto wiele istotnych scen. Można się domyślić, jakie fragmenty utworu padły ofiarą nożycy.

W związku z tą transakcją Rossellini stwierdził, że ma nadzieję na otrzymanie kontrnagatywu filmu przechowywanego w filmotece rzymskiej i w ten sposób można będzie sporządzić kopie eksploatacyjne. Nie będą one jednak miały tej wartości artystycznej, co kopie wykonane w oparciu o materiały oryginalne, sprzedane do NRF.

— Szkoda, że nasze władze nie troszczą się o tak cenne filmy, które stanowią artystyczne i kulturalne dziedzictwo naszego kraju — stwierdza „Unita”.



IRENA NOWAKOWSKA — kierownik artystyczny ZDK WSK w Mielcu.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

PELARGONIE

Zdaniem encyklopedii PWN, balkon to płyta oparta na wspornikach, otoczona balustradą i wysunięta przed ścianę zewnętrzną budynku, ale także amfiteatr i krzywa balistyczna. Ta ostatnia angielskie kojarzy nam się z parabolą i belfrem od matematyki, więc natychmiast dajemy jej spokój. Amfiteatr i balkon to już coś bliższego, bardziej miłego sercu. Teatr, opera, reprezentacyjna suknia, Romeo i Julia, serenada w noc księżycową — różnie to sobie ludzie wyobrażają. Nic z tych rzeczy proszę państwa. Nas interesuje balkon całkiem zwyczajny z żelaza zbrojeniowego i cementu z łaski architektów, przytwierdzony do ściany naszego domostwa. Zgodnie z założeniami owa płyta cementowa ma być ozdobą kamienicy i dodatkowym metrażem w okresie letnim, kiedy na kark zwala nam się bliższa i dalsza rodzina. Balkony — ideały powinny projektowane być tak, aby znalazło się na nich miejsce na leżak, skrzynki na kwiaty i szczypiorek, akwarium i domek dla ptaszek. Nic ponad to!

Wzdychamy — gdyby tak mały ganeczek, całkiem malusiński, na którym można by odpocząć po pracy, mieć złudzenie ogródka. Kiedy go mamy, natychmiast staje się graciarnią. Połamane krzesła, baniak od bielizny, stłuczone doniczki, brudne kalosze — wszystko, czego nie mamy czasu uporządkować, wynieść na śmietnik i sprzedać na makulaturę — na balkon. Żegnaj marzenie o krzeselku wśród wonnego kwiecica i pietruszkowej naci. Gdyby sądzić ludzi po balkonach, można by dojść do wniosku, że w kolorowych blokach mieszkają niechluj i ponuracy. Kwiatuzka ni śladu, pustynia, filia „Złom-Stal”. W najlepszym wypadku dekoracja z bielizny i piernatów. Piernaty wietrzyć trzeba, to prawda, dekoracyjne one jednak nie są.

Ludzie marzą o domkach w dzikim winie, klombach róż, kwiecistych i kolorowych rabatach. Kochają zieleni i kwiaty, chcą je mieć w najbliższym otoczeniu. Kwiaty bowiem mają to do siebie, że na ich widok uśmiecha się największy mizantrop, a głądziarzowi słowa utykają w gardle. Natura wymyśliła niezliczoną ilość odmian kwiatów. Oszałamiające orchidee i skromne niezapominajki. Na kwiaty mogą pozwolić sobie wszyscy, na domek z ogródkiem tylko nieliczni. Ale każdy człowiek może w sposób nawet najskromniejszy realizować swoje marzenia o pięknie. Piękna w sposób prosty i niefałszowany dostarcza nam przyroda. Niekoniecznie musi być to parcela z oranżerią i wybiegiem dla żyrafy — może być także balkon w kwiatkach, okno obrośnięte powojem, rododendron w donicy, flakon z margaretkami — możliwości szerokie. Widziałam śmiałków hodujących w skrzynkach pomidory. Zbiory oczywiście nie były rewelacyjne, ale nie o to przecież chodzi. Chodzi o zieleni. Każdy skrawek zieleni w mieście jest na wagę złota.

Trudno teraz w pełni lata myśleć o imponującym ogródku. Skrętnie gospodynie wiedzą jednak, że bratki również pięknie kwitną jesienią jak na wiosnę. Także rzodkiewka udaje się w skrzynkach. Sprawdzaliśmy osobiście. Pracy niewiele, a frajdy mnóstwo. Każda własnorośnie wyhodowana roślina cieszy nas więcej niż bukiet z kwaciarni, nie mówiąc już o tym, ile zyskuje wygląd zewnętrzny domów.

Balkonowe ogródki ujawniają przy okazji rodzinne talenty ogrodnicze. Sceptycznie do zielska ustosunkowane „głowy domu” z biegiem czasu odróżnią nawet astry od koperku. Być może znajdują się i tacy, którzy w trosce o rozszerzenie uprawy przyniosą do domu szczypek różowej pelargonii.

Bega

ZDARZENIA TYGODNIA

Muzea naszego województwa posiadają jak wiadomo, najbogatsze w Polsce zbiory ikon, a eksponowany ostatnio w rzeszowskim Domu Sztuki ich wybór w związku z sezonem turystycznym miał na celu szerszą popularyzację tej dziedziny zbiorów.

Przypominamy więc, że najstarsze z nich znajdują się w Muzeum Historycznym w Sankoku i Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemysku. W ostatnim 20-leciu podobną akcję podjęły również Muzeum Budownictwa Ludowego w Sankoku oraz Muzeum-Zamek w Łańcucie.

Piszemy o tym z okazji wydania przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie katalogu wystawianych eksponatów na wspomnianej już wystawie. Oprócz spisu wydawnictwo zawiera kilkanaście reprodukcji oraz kilkustronicowy wstęp omawiający historię gromadzenia zbiorów oraz krótki rys historyczny malarstwa ikonowego w Polsce.

Rada Zakładowa i Dom Kultury WSK w Mielcu ogłosiły z okazji V Zjazdu partii, 25 rocznicy powstania ludowego Wojska Polskiego, 20-lecia Aeroklubu Mieleckiego, 15-lecia ZDK i 30-lecia przedsiębiorstwa — konkurs na plakat dla amatorów plastyków, członków załogi przedsiębiorstwa.

Ostatnio jury pod przewodnictwem naszego grafika, Jerzego Sienkiewicza oceniło nadesłane na konkurs prace, których było około 40.

Nie wymieniamy tu zwycięzców w poszczególnych grupach tematycznych, gdyż zainteresowani zostali już powiadomieni o decyzji sądu konkursowego a ZDK zaprezentuje na pewno ich dorobek. Podkreślamy tu jedynie, nie oceniając poziomu nadesłanych prac, że na uwagę zasługuje liczny udział plastyków amatorów w tego rodzaju inicjatywach. Jest to niewątpliwie wynikiem szeroko prowadzonej przez mielecki ZDK akcji popularyzacji kultury plastycznej, która zasługuje niewątpliwie na osobne omówienie.

Również Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie utrzymuje ścisłe kontakty z amatorami plastykami i udziela im pomocy.

Przed kilkoma dniami zakończył się zorganizowany we Wzdowie plener członków Klubu Amatora Plastyki, tj. plastyków amatorów i instruktorów z placówek kulturalno-oświatowych. Poza zajęciami praktycznymi, uczestnicy pleneru zwiedzili powiat brzozowski oraz Iwonicz-Zdrój.

Podobnie jak w latach ubiegłych wystawa prac poplenerowych będzie eksponowana w lokalu WDK we wrześniu br.

W rzeszowskim Domu Sztuki odbędzie się w sobotę otwarcie wystawy fotografów Wojciecha Plewińskiego. Ten polski fotografik znany choćby licznym czytelnikom „Przekroju” zaprezentuje w Rzeszowie 48 fotografii, będących plonem wizyt w domu starców i wędrowek po świecie. Przedstawili także portrety niektórych ludzi sztuki i kultury.

Od soboty, w tej samej placówce będzie można obejrzeć ekspozycję prac, pochodzących z zakupów Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Krakowa. Będzie to m. in. twórczość znanych artystów: W. Buczka, L. Różgi, J. Joniaka, D. Mroza, Z. Radnickiego i K. Bereznickiego.

Ekspozycja została zorganizowana w wyniku porozumienia Wydziału Kultury Prezydium RN m. Krakowa i Biura Wystaw Artystycznych w tym mieście.